

Prawda o Kielcach 1946 r. Część I
Prof. Jerzy Robert Nowak, Nasz Dziennik, 04.07.2002

Mija już kolejna, 56. rocznica zająć antyżydowskich w Kielcach, które tak mocno zostały wykorzystane przez komunistyczną propagandę dla oczernienia Polski i Polaków w świecie. Rozliczne świadectwa i udokumentowane książki szeregu autorów (m.in. byłego oficera WP żydowskiego pochodzenia Michaela Chęcińskiego, Krzysztofa Kąkolewskiego i ks. Jana Śledzianowskiego) wyraźnie wskazały na prawdziwy charakter zbrodni kieleckiej.

Zajścia antyżydowskie w Kielcach były prowokacją sowiecką, zorganizowaną dla odwrócenia uwagi Zachodu od sfałszowanego referendum w Polsce i od niewygodnej dla Rosji debaty nad Katyniem w czasie Procesu Norymberskiego. Sprawa pełnego odkrycia przebiegu zbrodni pod względem prawnym miałyby więc tym większe znaczenie dla obalenia kłamstw na temat najnowszej historii Polski. Tym bardziej oburzający jest więc fakt, że świadomie blokowano działania prawne, zmierzające do ustalenia prawdy o wydarzeniach kieleckich. Prezentowany tu kilkuodcinkowy cykl ma na celu syntetyczne przedstawienie prawdy o zająciach kieleckich 1946 r. w świetle dotychczasowych badań.

Przebieg zająć kieleckich

Badania naukowców i innych autorów, próbujących odkryć prawdziwe kulisy zbrodniczych zająć kieleckich (m.in. książka znakomitego reportera Krzysztofa Kąkolewskiego "Umarły cmentarz"), całkowicie obaliły twierdzenia komunistycznej propagandy o rzekomej roli "reakcyjnego podziemia", andersowców itp. w przygotowaniu napaści na Żydów. Nie zdołano udowodnić tej roli, pomimo, stosowania tortur wobec uwięzionych, zastraszania świadków i adwokatów w zorganizowanym i sfabrykowanym przez reżim procesie rzekomych winowajców - procesie, w którym nie skazano żadnego z faktycznych sprawców kieleckich zająć antyżydowskich. Z nagromadzonych przez dziesięciolecia świadectw wyraźnie wyłania się **faktyczna sprawcza rola NKWD W ZBRODNI KIELECKIEJ**. Tej roli podporządkowane były uczestniczące w zająciach kieleckich różne komunistyczne "siły porządku", w tym wojsko, milicja, KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego).

A oto jak wyglądał przebieg zbrodniczych zająć kieleckich 4 lipca 1946 roku. Pod pretekstem szukania rzekomo zaginionego chłopca, Henryka Błaszczyka, do domu na Plantach, w którym mieszkała liczna grupa Żydów, dwukrotnie wchodzili w różnych fazach milicjanci, wojsko, KBW, oficerowie wywiadu wojskowego i sześciu współdziałających z nimi cywilów. Innych osób nie wpuszczano, umundurowani chcieli bowiem sami obrabować upatrzone ofiary. Krzysztof Kąkolewski na dowód premedytacji, z jaką przeprowadzono całą zbrodniczą akcję, podaje fakt, że Żydzi byli wyraźnie mordowani wybiórczo. W pierwszej kolejności zastrzelono trzy osoby: rabina Kahande, najbogatszego kieleckiego kupca, pragnącego reaktywować w mieście działalność handlową (a więc ożywić "kapitalizm" w Kielcach), i adwokata, upominającego się o żydowskie mienie zagrabione w czasie wojny. Rabina zastrzelił niezidentyfikowany oficer. Wszystkie zabójstwa zostały popełnione przez wojsko, milicję i wspomnianych sześciu cywilów, prawdopodobnie należących do specjalnych oddziałów, powołanych przez wojsko dla celów dywersyjnych.

Pomimo skoncentrowania w Kielcach wielkich jednostek wojska, milicji, UB, KBW i oddziałów sowieckich, przez wiele godzin świadomie nie zorganizowano skutecznej pomocy

dla Żydów osaczonych w budynku na Plantach. Wystarczyłaby zaś do tego mała część posiadanych środków. Szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, major Władysław Subczyński, odmówił wysłania na miejsce gromadzenia się tłumu kompanii szturmowej WUBP pod pretekstem, że żołnierze są zmęczeni nocną akcją w terenie. Uniemożliwiono przybycie na miejsce zając przedstawicieli duchowieństwa i prokuratora. Nawet nieduże jednostki wojska czy UB mogłyby z łatwością rozproszyć stosunkowo niewielkie zbiorowisko ludzi, gromadzące się wokół budynku na Plantach. Zbierający się tam tłum - wbrew późniejszym zafałszowaniom - nigdy nie był większy niż paręset osób. Zbrodnicza bezczynność stacjonujących w mieście wielkich jednostek wojskowych polskich i sowieckich (przy równoczesnym udziale niektórych przedstawicieli oficjalnych "sił porządku" w mordach) spowodowała zabicie kilkudziesięciu Żydów.

Warto w tym kontekście przytoczyć opinię Bożeny Szaynok, autorki książki "Pogrom Żydów w Kielcach 4 VII 1946", Warszawa 1991. Pisała ona, iż *"działania milicji służyły niewątpliwie rozwojowi wydarzeń pogromowych. Działania szefa WUBP [Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego - J.R.N.] były niewątpliwie skierowane na spotęgowanie wydarzeń pogromu."* (s. 108).

Major Subczyński, stary agent Moskwy sprzed wojny, uważany za głównego organizatora masakry ze strony polskiej bezpieki, uratował się od wszelkiej odpowiedzialności dzięki stanowczej interwencji władz sowieckich w jego sprawie. A później robił dalej przyspieszoną karierę wojskową, mimo braku nawet matury (zrobił ją dopiero w 1956 roku).

Na czym polegała jednak rola NKWD w pogromie i kto je reprezentował? Szczegółowo udokumentowaną ocenę na ten temat przyniosła wydana w 1982 roku w Nowym Jorku książka Michaela Chęcińskiego "Poland. Communism - Nationalism - Antisemitism", ciągle jeszcze zbyt mało znana w Polsce. Jej autor, były oficer Wojska Polskiego żydowskiego pochodzenia, związany ze służbami specjalnymi, wyemigrował z Polski w 1968 roku. W swej książce jako pierwszy dowodził, że główną rolę w całej sprawie odegrał z ramienia NKWD oficer sowieckiego wywiadu Michaił Aleksandrowicz Diomin. Chęciński wskazał na interesującą współzależność: fakt, że Diomin został przysłany do Kielc, miejsca raczej "mało prawdopodobnego" jako cel pobytu dla wykwalifikowanego oficera sowieckiego wywiadu, na kilka miesięcy przed antyżydowskimi zajściami 1946 roku w Kielcach, a wyjechał w dwa tygodnie po nich. Jak zbadał Chęciński, Michaił Diomin był oficerem wyraźnie wyspecjalizowanym w sprawach żydowskich. W latach 1964-1967 był oficerem wywiadu sowieckiego w Izraelu, pracując tam jako sekretarz attaché handlowego w ambasadzie sowieckiej w Tel Awiwie. Według Chęcińskiego, właśnie Diomin nadzorował działania wspomnianego majora Subczyńskiego, który już poprzednio próbował zorganizować - w prowokatorskim celu - podobne do kieleckich zajścia antyżydowskie w Rzeszowie i Krakowie. Wtedy miały one mierne powodzenie, tym razem przyniosły oczekiwany przez jego rosyjskich mocodawców potworny skutek.

Powołując się na opinię pani Lewkowicz-Ajzenman, szefa sekretariatu w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa w Kielcach, Chęciński pisał:

"Pani Lewkowicz-Ajzenman dodała: 'Kiedy po latach znalazłam się w Izraelu, w gazecie natknęłam się na to nazwisko Dyomin, sekretarza attaché handlowego w ambasadzie radzieckiej w Tel Avivie. Wzbudziło to moją ciekawość i postanowiłam popatrzeć na tego człowieka. Bez wątplenia był to ten sam Dyomin. Ciekawe, prawda? Przystanie Dyomina do Izraela mogłoby sugerować, że był specjalistą w sprawach żydowskich (...)'. To, że Dyomin

był wykorzystywany do bardzo ważnych zadań, zostało potwierdzone przez amerykańskiego historyka zajmującego się KGB. Wymienia on Michaiła Aleksandrowicza Dyomina (pisanego również Demin) jako oficera wywiadu wojskowego w Izraelu w latach 1964-1967 i w Republice Federalnej Niemiec od 1969 r. (...)." (cyt. za polskim przekładem fragmentów książki M. Chęcińskiego w: Antyżydowskie wydarzenia kieleckie 4 lipca 1946 roku. Dokumenty i materiały, oprac. Stanisław Meducki, Kielce 1946, tom II, s. 102-103).

Chęciński wskazywał, że bezsprzecznie największą korzyść z zamieszania wywołanego zajściami antyżydowskimi w Kielcach, tak w Polsce, jak i za granicą, wyciągnęli sowieccy komuniści.

Zbrodnia kielecka stała się dla nich okazją dla nagłośnienia wśród liberałów i lewicowców na Zachodzie gromkich oskarżeń o antysemityzm wobec polskiego podziemia, kręgów emigracyjnych i hierarchii katolickiej. Zdaniem Chęcińskiego, dowód o udziale polskich i rosyjskich oficerów bezpieczeństwa w zajściach antyżydowskich *"jest zgodny z ich dobrze znanymi globalnymi celami i taktyką. Masowa emigracja Żydów z Polski ułatwiła zadanie (dała broń do ręki) Związkowi Radzieckiemu przez przeladowanie obozów dla uchodźców w zachodnich strefach Niemiec i Austrii oraz wystawienie na próbę rządów brytyjskich w Palestynie, dokąd większa część tych Żydów chciała się udać. Antyżydowskie wybuchy w Polsce służyły jako pretekst do wzmocnienia kontroli nad polskim aparatem bezpieczeństwa poprzez wskazanie, że Polacy, nawet komuniści, nie są w stanie sami utrzymać prawa i porządku (...). Co więcej, mogli usprawiedliwiać wszystkie przyszłe represje polityczne jako konieczne dla zahamowania antysemickich sentymentów ludności (...)"*.

Głównym celem tak efektywnie zaplanowanej przez Sowietów zbrodniczej prowokacji kieleckiej było jednak odwrócenie uwagi Zachodu od dokonanego przez komunistów za ledwie parę dni przedtem **gigantycznego fałszerstwa wyników referendum**. Na ten motyw kieleckiej zbrodni zwrócono bardzo szybko uwagę już w pierwszych komentarzach uczciwych obserwatorów wydarzeń w Polsce.

Już 7 lipca 1946 roku, a więc za ledwie kilka dni po zbrodni antyżydowskiej w Kielcach, grono polskich intelektualistów, po części osób pochodzenia żydowskiego, w USA wydało deklarację jednoznacznie akcentującą jako motyw zbrodni to, że: *"Reżimowi warszawskiemu zależy na odwróceniu uwagi światowej opinii publicznej od swoich ogromnych problemów w administrowaniu krajem - ponieważ nie opiera się on na woli większości Narodu Polskiego - lecz potężnej policji bezpieczeństwa, za którą stoi okupacyjna armia sowiecka. W chwili, kiedy opinia publiczna krajów demokratycznych zaczyna sobie zdawać sprawę z oszustw i nadużyć, jakie popełnia w Polsce prosowiecki reżim (by wspomnieć tylko ostatnie, oszukańcze referendum), rząd warszawski sprowokował morderstwa w Kielcach - ubierając się w toge obrońcy społeczności żydowskiej - aby upozorować, że jest za obroną demokracji"*.

(Porównaj zamieszczony w aneksie pełny tekst deklaracji polskich intelektualistów z Nowego Jorku). Warto zwrócić szerszą uwagę na tę bardzo często przemilczaną dziś przez niektórych tendencyjnych autorów deklarację polskich i żydowskich intelektualistów z USA, tak szybko wskazującą na prawdziwe źródła mordu na Żydach.

Bardzo istotnym podskórnym celem zajść antyżydowskich w Kielcach w 1946 roku było szukanie przez NKWD swego "anty-Katynia". Akurat na 3 dni przed krwawymi zajściami w Kielcach - 1 lipca 1946 roku - rozpoczęło się postępowanie dowodowe Trybunału Narodów w Norymberdze w sprawie Katynia. 4 lipca, tj. w dniu pogromu, zaczęły się przemówienia stron w tej sprawie. Osoby dobrze poinformowane wiedziały już wtedy, że nie ma szans dowiedzenia Niemcom hitlerowskim udziału w zbrodni na polskich oficerach.

Zostawał jedyny faktyczny winny - Związek Sowiecki (szerzej uwagi K. Kąkolewskiego na ten temat w książce "Umarły cmentarz", Warszawa 1996).

Przemilczane zajścia antyżydowskie w innych krajach

Co najbardziej zdumiewa w sprawie zbrodni kieleckiej 1946 roku, to fakt skrajnego przemilczenia przez ogromną część badaczy w Polsce tego, że podobne zbrodnie miały miejsce po 1944 roku także w innych krajach, które znajdowały się pod kontrolą sowiecką, a więc na Słowacji, na Węgrzech i na Ukrainie. **Co więcej, wszędzie tam wydarzenia rozgrywały się wyraźnie według bardzo podobnego scenariusza jak w Kielcach.** Bardzo podobne było w nich zachowanie wojska i milicji oraz wyraźna rola sprawców o komunistycznej proveniencji, których nigdy nie ukarano. Bardzo podobne były też cele polityczne zajęć antyżydowskich w innych krajach. **Tak jak zajścia w Kielcach miały odwrócić uwagę Zachodu od monstrualnie sfałszowanego referendum, tak zajścia na Węgrzech czy Słowacji miały odwracać uwagę od przejawów skrajnego bezprawia i gwałtów, dokonywanych przez wojska sowieckie - rozprawy z prozachodnią opozycją.** Docierające na Zachód wieści o zlinchowaniu Żydów w Kunmadars, Azd czy Miskolcu miały skutecznie przesłaniać sprawy wielu tysięcy gwałtów, popełnionych przez żołnierzy sowieckich na Węgrzech, czy nawet bestialstw w stylu zamordowania przez pijanych żołdaków sowieckich katolickiego biskupa Gyórmosa Apora (za to, że próbował udzielić schronienia w swym pałacu biskupim kobietom uciekającym przed sowieckimi gwałtocielami). Nieprzypadkowo seria gwałtownych zajęć na Węgrzech (od Kunmadars po Miskolc) przypadła na czas wiosny - lata 1946, gdy sowieckie władze okupacyjne rozpoczęły z pomocą węgierskiej komunistycznej milicji i bezpieki kampanię aresztowań i zastraszeń dla osłabienia bazy politycznej prozachodniego rządu Ferencza Nagya.

W opracowanej przez grupę wybitnych żydowskich badaczy na Zachodzie monografii historii Żydów w państwach zależnych od Związku Sowieckiego zwrócono szczególną uwagę na znamienne zachowanie pozostających pod nadzorem komunistów "sił porządku": wojska i policji. W czasie zajęć antyżydowskich w mieście Velke Topolcany 24 września 1945 r. w toku sześciogodzinnych zamieszek zniszczono wszystkie mieszkania żydowskie, raniono 49 osób. Policja przez cały ten czas nie tylko nie interweniowała w obronie napadniętych Żydów, lecz przeciwnie, uczestniczyła wraz z wojskiem w pogromie (por. *The Jews in the Soviet Satellites* by Peter Meyer, Bernard D. Weinryb i in., Westpoint, Connecticut 1953, s. 105).

Podobnie jak w Słowacji, a później w Polsce, także i na Węgrzech wiosną 1946 r. w miejscowościach, w których dochodziło do krwawych zajęć antyżydowskich, umocnione jednostki kontrolowanej przez komunistów milicji nie były skłonne do interweniowania (tak było w Kunmadars w maju 1946 r. czy w Diósgyőr w czerwcu 1946 r.). We wspomnianej historii Żydów w państwach satelickich pisano, iż pomimo faktu, że śledztwo wykryło, że sprawcami pogromu w Kunmadars byli członkowie partii komunistycznej, faktyczni sprawcy uniknęli kary (*The Jews in the Soviet Satellites*, s. 425).

Na Węgrzech do pierwszych gwałtowniejszych zajęć antyżydowskich po wojnie doszło w "zd i Sajószentpeter 23 lutego 1946 r. Koncentrowały się one głównie na grabieży sklepów i mieszkań. 23 maja 1946 r. chłopci w Kunmadars, podburzeni przez ewidentnego prowokatora (Zsigmonda Totha), zabili trzech kupców żydowskiego pochodzenia i ciężko poranili osiemnastu innych. W czerwcu 1946 podpalono synagogę w Mak. 30 lipca 1946 r. wielotysięczny tłum w Miskolcu (drugim po Budapeszcie pod względem liczebności mieście Węgier) zlinchował dwóch kupców - Żydów, a w kolejnych zajściach zamordował również

Żyda - oficera bezpieczeństwa (wszystkich uczestników zajęć antyżydowskich w Miskolcu wypuszczono na Węgrzech na wolność po niecałym roku).

Na łamach popularnego węgierskiego dziennika "Magyar Nemzet" z 15 marca 1991 r. przytoczono wymowne oceny węgierskiego historyka Marii Schmitd. **Stwierdziła ona, że to ręka sowieckich tajnych służb kryła się za histerią wokół mordów rytualnych, wzniesioną w Słowacji w kwietniu 1946 r., na Węgrzech w maju 1946 r. (obok Kunmadars także w Mezökövesd i Hajduhadhaza) oraz w Polsce w lipcu 1946 r.** Zdaniem Marii Schmitd: *"Sowieckie kierownictwo chciało uwolnić się od żydowskich warstw religijnych, burżuazyjnych i mieszczaństwa, które traktowali jako bazy 'kapitalizmu'; pragnęło zaostrzyć problemy mocarstw zachodnich, przyjmujących żydowskich uchodźców, a w szczególności Wielkiej Brytanii, zajmującej Palestynę. I wreszcie, przypisując pogromy manipulacjom prawicowej 'reakcji', chciano umocnić na wschodzie i zachodzie Europy obóz komunistów, członków partii i sympatyków żydowskiego pochodzenia (...)"* (cyt. za Janos Pelle, A kunmadarasi pogrom. Shylock Hunniban II, "Magyar Nemzet" 15 marca 1991 r.).

Trzeba przyznać, że wszędzie władzom komunistycznym udało się osiągnąć zamierzone efekty. Wśród Żydów na Węgrzech, w Polsce czy Słowacji umacniały się sympatie prokomunistyczne, poczucie, że tylko Armia Czerwona jest w tych krajach jedynym prawdziwym obrońcą Żydów wobec miejscowych "nacjałów" i "reakcjonistów". Nader wymowny pod tym względem był list Móra Reinhardta do prezesa religijnej wspólnoty żydowskiej na Węgrzech Lajosa Stöcklera z dnia 5 sierpnia 1946 r., wkrótce po pogromie Żydów w Miskolcu: *"Niech rosyjskie władze wojskowe wypuszczą Żydów z kraju. Tak jednak, aby nie musieli się oni starać nielegalnie o wydostanie. Do czasu zaś, gdy będzie trwał proces ich emigracji - a może on ze względu na sytuację w Palestynie przeciągnąć się nawet do roku, dwóch lat - niech Armia Czerwona okupuje ten kraj w celu bronienia nas."* (cyt. za J. Pelle: A kunmadarasi pogrom...). A więc doszło do jednoznacznego postulowania, by Armia Czerwona bezprawnie okupowała dłużej Węgry, tylko w celu bronienia Żydów przed niebezpiecznymi Madziarami! Powstawanie tego typu odczuć było szczególnie cennym dla Sowietów efektem ich pogromowych prowokacji.

Najwyższy czas, by badający sprawę antyżydowskich zajęć w Kielcach naukowcy polscy i żydowscy odeszli wreszcie od swoistego wąskiego "polonocentryzmu" w tej sprawie i zwrócili uwagę na badania nad przebiegiem i inspiracją dla podobnych pogromów w Słowacji czy na Węgrzech. Może łatwiej trafi się w ten sposób na ślady sprawców wydarzeń.

Część II

Kampania propagandowa na tle zajęć w Kielcach stanowi niewątpliwie jeden z najbardziej kompromitujących epizodów w historii komunistycznego kłamstwa w Polsce. Można wprost podziwiać rozmiary fantazji ówczesnych reżimowych oszczerców, łatwość z jaką natychmiast "odkryli" rzekomych sprawców zbrodni i jej mocodawców.

Manipulacje komunistycznej propagandy

Minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz oświadczył na pogrzebie zamordowanych Żydów, że wydarzenia w Kielcach były dziełem emisariuszy Rządu Polskiego na Zachodzie i generała Andersa przy poparciu AK-owców (według: ks. Daniel

Olszewski, Polski antysemityzm w czasie okupacji i po wojnie, "Znaki czasu" 1987, nr 7, s. 91).

Sekretarz generalny PPR Władysław Gomułka stwierdził w przemówieniu wygłoszonym na zebraniu aktywu PPR i PPS w Warszawie 6 lipca 1946: "(...) *Faszyści polscy, ci sami, którzy tak entuzjasmują się na sam widok pana Mikołajczyka i których on wita lordowskim uśmiechem zadowolenia, prześcignęli w antysemickim szale morderców hitlerowskich* (...) (W. Gomułka, Artykuły i przemówienia, tom II, styczeń 1946 - kwiecień 1948, Warszawa 1964, s. 170.)

Członek Biura Politycznego KC PPR Jakub Berman utrzymywał w rozmowie z ambasadorem amerykańskim w Polsce Arthurem Bliss-Lane 11 lipca 1946 r., że zajścia w Kielcach były częścią ogólnego planu podziemnych "band" - szczególnie Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) i organizacji Wolność i Niezawisłość (WiN), którego celem było wywołanie w całym kraju niechęci do rządu. (A. Bliss-Lane, Widziałem Polskę zdradzoną, Warszawa, wyd. podziemne "Krag", s. 133).

Pułkownik Grzegorz Korczyński, przemawiając 19 lipca 1944 r. na posiedzeniu Komisji Administracji i Bezpieczeństwa KRN jako przedstawiciel MBP, zrzucił całą winę na działania organizacji podziemnych NSZ i WiN-u oraz andersowców. Stwierdził, że w czasie antyżydowskich zajęć słychać było okrzyki: "*Precz z rządem, premierem, bezpieczeństwem*", "*Niech żyje Anders*", a w tłumie jakoby uwijali się ludzie w mundurach andersowskich, którzy dyrgowali tłumem (por. K. Kersten, Polacy. Żydzi. Komunizm, Warszawa 1992, s. 125).

W oficjalnej odezwie do ludności miasta Kielc z dnia 4 lipca 1946 r. oświadczano: "*Oplątane złotem bandy leśne NSZ, WiN, AK dokonały zbrodni*" (cyt. za ks. D. Olszewski, op. cit., s. 91).

Szczególnie znamienity ton miała rozplakatowana na murach Kielc odezwa podpisana przez przedstawicieli PPR, PPS, SP, PSL, SL, SD oraz Okręgowej Komisji Związków Zawodowych, która zdumiewała określeniami charakterystycznymi dla sowieckiego żargonu w ulotkach do Polaków oraz typowymi błędami stylistyki i pisowni polskiej. Pisano w niej: "*(...) Nieodpowiedzialne elementy, wyzyskując tłum zgromadzony na skutek tendencyjnie rozsiewanych fałszywych wieści przez najemnych słuchaczy (stugusów - zapytuje w komentarzu K. Kersten) polskiej szlachty - chciały dokonać zbrodniczego zamachu na resztkach ludności żydowskiej, która przeszedłszy gehennę piekła hitlerowskiego i ocalawszy w znikomej części szukała schronienia w naszym mieście. Są ranni i zabici. Rzuca to płamę na cały naród polski w oczach zagranicy i przyszłych pokoleń. Dorzuca to jeszcze jeden kamień hańby do tych wszystkich zbrodni, jakie były już popełnione przez rzeczywistych organizatorów spod znaku reakcyjnych sił polskich panów z NSZ (...)*". (K. Kersten, op. cit., s. 97-98).

Komentując ulotkę K. Kersten pisała: "*Kto, gdzie napisał i wydrukował ten tekst? Kto go kazał rozkleić na murach? Jest oczywiste, że władze żadnej z wymienionych partii nie mogły w tym przedsięwzięciu uczestniczyć (...)*" (tamże, s. 98).

Wyjaśniając zapytania K. Kersten, można przypuścić, że ulotkę tego typu ze zwrotami o "*polskiej szlachcie*" i "*polских panach*" mógł napisać tylko ktoś, kto przez lata aktywnie działał w sowieckiej antypolskiej propagandzie. **Mógł to zrobić ktoś nadal aktywny w służbie NKWD, być może niedawno repatriowany z Rosji repatriant pochodzenia**

żydowskiego lub przyuczający się polskiego Rosjanin, który robił potworne błędy w stylistyce i pisowni.

Dlaczego Kerstenowa uważa, że władze żadnej z wymienionych partii nie mogły w tym przedsięwzięciu uczestniczyć? PSL na pewno nie, ale jest bardzo prawdopodobne, że PPR - tak. Według sprawozdania instruktorów KC PPR z pobytu w województwie kieleckim od 4 do 15 lipca 1946 r.: *"Postanowiono wydać odezwę, podpisaną przez wszystkie Stronnictwa. Odezwa została nazajutrz rozplakatowana"* (wg: Antyżydowskie wydarzenia kieleckie 4 lipca 1946 roku. Dokumenty i materiały, tom II. Oprac. i przygotował do druku Stanisław Meducki, Kielce 1994, s. 141).

7 lipca 1946 r., w rezolucji Wojewódzkiego Komitetu PPS i Wojewódzkiego Komitetu PPR wystąpiono ze skrajnie absurdalnymi zarzutami głoszącymi, iż kler katolicki w Kielcach *"przez swe zaczepne wystąpienia antyrządowe z ambon przygotował nastroje pogromu i zbrodni."* (por. tamże, s. 119). Po latach stanowczo odciął się od tego typu interpretacji wojewoda kielecki w 1946 roku Eugeniusz Wiślicz-Iwańczyk, stwierdzając w swych wspomnieniach: *"(...) Włączenie się Kurii Biskupiej do uspokojenia nastrojów antyżydowskich i na tym tle antyrządowych, dało widoczne rezultaty. Niestety nie potrafiliśmy w większym stopniu wykorzystać dobrej woli dostojników Kościoła. W tamtych czasach nie znaliśmy pojęcia 'dialogu', lecz jedynie pojęcie 'zaostrzającej się walki klasowej'. Jest oczywiste, że najłatwiej jest własne błędy zrzucić na rzeczywistego lub wyimaginowanego 'wroga klasowego'. Świadczy o tym chociażby uproszczona i przedwczesna ocena kieleckich wydarzeń, opracowana w formie rezolucji przez Wojewódzkie Komitety Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej zaledwie w 3 dni po pogromie i na 4 dni przed mającym się odbyć sądem (...)"* (tamże, s. 90).

Ataki na "reakcję" jako rzekomego sprawcę zbrodni w Kielcach twórczo rozwinęła reżimowa prasa. Katowicka "Trybuna Ludu", będąca wówczas miejscową gazetą lokalną także dla Kielc (kieleckie "Słowo Ludu" jeszcze nie istniało), napisała w dniu 6 lipca 1946 r.: *"(...) Niestychana prowokacja elementów reakcyjnych (...) Aresztowano 62 podżegaczy i sprawców pogromu. Nigdy prawdziwe źródło tego rodzaju zbrodni nie było tak jasne jak w tym przypadku. Czy Adolf Hitler nie zaczął od pogromów Żydów? Kieleckie kołtuny, zarażone hitlerowską trucizną, dawaną przez andersowskich bandytów, mszczą się za klęskę referendum (...)"* (cyt. za ks. D. Olszewski, op. cit., s. 91). "Gazeta Ludowa" z 8 lipca popisała się już skrajnym atakiem na polską hierarchię katolicką, stwierdzając: *"(...) Winni pogromowi kardynał Hlond, Kuria Biskupia w Kielcach, biskup częstochowski Kubina (...)"* (tamże, s. 91-92). W rzeczywistości ks. biskup Kubina odegrał bardzo dużą rolę w uspokojeniu nastrojów w Częstochowie przez odezwę do społeczeństwa z 7 lipca 1946 r. i in. Przyznawano to nawet w piśmie Powiatowego Oddziału Informacji i Propagandy w Częstochowie do Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Kielcach z 29 sierpnia 1946 r. (por. Antyżydowskie wydarzenia..., op. cit., t. 2, s. 115).

Wszystkie rekordy kłamstw pobił artykuł Piotra Borowego opublikowany na łamach głównego marksistowskiego organu kulturalnego "Kuźnica", redagowanego przez takich koryfeuszy reżimowej ideologii, jak Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk czy Stefan Żółkiewski. Borowy oskarżał zacofanych "prowincjuszy", którzy wierzą *"nadal w trzecią wojnę i rozbiór Rosji, wierzą również w powrót Andersa i w nocie 'długich noży', podczas których 'wyrzną co trzeciego Polaka'.*

Mołoch jest łatwo podjuzdzić i pogromy takie endecja może robić również w innych miastach,

nawet pod oknami kurii biskupich (...)" (cyt. za P. Borowy, Co wart jest gest Piłata, "Kućnica" 5 sierpnia).

Do oficjalnych reżimowych oskarżeń przeciw "polskiej reakcji" jako rzekomej winowajczyni antyżydowskich zająć w Kielcach, bez wahania przyłączyli się czołowi przedstawiciele różnych organizacji żydowskich. Nie pozwolili sobie na zachowanie nawet cienia wątpliwości, choć chodziło o sprawę dotyczącą mordu na ich współziomkach, więc powinni być zainteresowani maksymalnym wyświetleniem wszystkich podejrzanych okoliczności, **choćaby dziwnego zachowania sił bezpieczeństwa, wojska i milicji**. Na posiedzeniach Centralnego Komitetu Żydów Polskich (CKŻP) jednoznacznie akcentowano rzekomą odpowiedzialność polskiej "reakcji" za zajęcia w Kielcach. Jeden z czołowych oficjalnych liderów społeczności żydowskiej Adolf Berman, brat Jakuba, już 4 lipca informując zebranych na posiedzeniu Prezydium CKŻP o antyżydowskich zajęciach w Kielcach, nazwał je *"próbą odłamu faszystowskiego podburzenia społeczeństwa przeciw rządowi. Jest to rezultat przegranego przez nich referendum (...)"* (K. Kersten, Polacy... op. cit., s.103). Tak *"poinformowany przez Adolfa Bermana Centralny Komitet Żydów Polskich nie miał wątpliwości co do potencjalnych winnych i w swym komunikacie zaakcentował, że pogrom kielecki przeprowadzono pod hasłem: 'bij Żyda i niech żyje Anders'"* (K. Kersten, op. cit., s. 103).

Podobny ton oskarżeń pod adresem polskiej "reakcji" dominował na kolejnych posiedzeniach CKŻP. Icchak Cukierman (pseudonim Antek) uznał, iż: *"(...) Kielce, to początek organizowania zamachów na Żydów (...) Dookoła zorganizowanych sił faszystów stoją antysemitcy zbrodniarze. Rząd zaczyna się umacniać i walka z reakcją jest ciężka, można się spodziewać mordów na Żydach. Kielce nie były odosobnione (...)"* (wg: K. Kersten: Polacy..., op. cit., s. 104). Przedstawiciel PPR w Prezydium CKŻP Paweł Żelicki ocenił: *"(...) reakcja po straconym referendum zaczęła ostrą walkę przeciw rządowi. Wysuwa się konik antyżydowski (...) zamiarem reakcji było zdyskredytowanie rządu za granicą (...). W kampanii za granicą przeciw ośrodkom, które inspirowały i przeprowadzały akcję, należy wskazać na udział wśród kieleckich napastników wojskowych w mundurach z napisem Poland oraz na zachowanie się kleru (...)"* (tamże, s. 104). Żelicki i przedstawiciel Bundu postulowali, aby przeprowadzić **odpowiednią kampanię propagandową za granicą**, w imię *"zwalczania tamtejszych ośrodków dyspozycyjno-pogromowych. Sugerowano, by publicznie interpelować Mikołajczyka w sprawie stanowiska PSL, zapytać go, 'dlaczego akceptuje mord kielecki?'"*. Nie miał żadnych wątpliwości co do rzekomej roli "reakcji polskiej" jako winowajczyni zająć w Kielcach również wpływowy amerykański dziennikarz żydowski rodem z Polski Szmuel L. Shneiderman. **W czasie pobytu w Polsce spotykał się on głównie z komunistycznymi prominentami pochodzenia żydowskiego**, a urzeczony Mincem wyrażał się o nim tylko w superlatywach. Dotarł do Kielc nazajutrz po zajęciach i puścił w świat jedną z pierwszych relacji, głosząc wszem i wobec, że chodzi o *"diabelską machinację polskich bandytów, którzy w Kielcach skutecznie dopełnili robotę zaczęłą przez nazistów (...)"* (tamże, s. 105).

W ten sposób **wpływowi przedstawiciele Żydów polskich i zagranicznych wydatnie pomogli w odwróceniu uwagi świata od prawdziwych inspiratorów mordu w Kielcach - komunistycznych zbrodniarzy z NKWD i UB**. Swoimi wystąpieniami proreżimowymi, "anty-andersowskimi" i "anty-reakcyjnymi" potwierdzili zaś coraz powszechniejsze w społeczeństwie polskim przekonanie o identyfikacji przeważającej części Żydów polskich z komunistami.

Rzecz znamienna: polskie władze komunistyczne niezwykle mocno starały się maksymalnie nagłośnić zbrodnię kielecką na Zachodzie, i to w odpowiednio hańbiącym Polskę i Polaków

szerokim kampanijnym kontekście. Jak przytaczał Krzysztof Kąkolewski w "Umarłym cmentarzu", linię oficjalnej propagandy komunistycznej na temat zbrodni kieleckiej na zagranicę ustalał kierownik Wydziału Zagranicznego KC PZPR Ostap Dłuski. W liście do ambasadora RP w Paryżu Stanisława Skrzyszewskiego zalecał, aby przeprowadzić odpowiednią *"kampanię w prasie francuskiej, pisząc o znaczeniu i wadze tej kampanii tak ze względów ogólnopństwowych, jak i w związku z okresem przedwyborczym"*. Jak akcentował Dłuski: *"(...) Dobrze postawiona kampania opłaci się nam bardzo, nie trzeba być skąpym. (...) Sprawa sama w sobie powinna zainteresować każdego szczerego demokratę, patriotę francuskiego. Chodzi o to, by sprawie nadać szerokie tło polityczne - Monachium, Beck, Anders - a między innymi odstąpić prawdziwe korzenie afery kieleckiej (...)."*

Władzom reżimowym miała się bardzo opłacać zagraniczna "kampania na temat wydarzenia hańbiącego imię Polski". Było to zaś tym bardziej perfidne, że to ich służalstwo wobec sowieckiej polityki NKWD umożliwiło dojście do całej tej ponurej sprawy.

Autor wydanej w 1993 roku w Toronto monografii PSL-u w latach 1945-47 Roman Buczek wyszczególnił następujące punkty dezinformacji lansowanej przez reżimową prasę w Polsce i część prasy zagranicznej, akceptującej komunistyczne wyjaśnienia:

1. "Nasłani agencji gen. Andersa organizują w Polsce pogromy Żydów;
2. Pewne ośrodki w Polsce nie chcą potępić wypadków kieleckich według wskazań PPR, a więc były związane z pozostałościami faszyzmu i z gen. Andersem;
3. **Najważniejszym z tych ośrodków jest Polskie Stronnictwo Ludowe kierowane przez Stanisława Mikołajczyka i dlatego należy stronnictwo to rozwiązać, a jego przywódców odizolować od społeczeństwa. W wystąpieniu swoim z dnia 6 lipca 1946 r. Gomułka oskarżył nawet PSL o bezpośredni udział w pogromie w Kielcach;**
3. Zabijający Żydów byli katolikami, ale Kościół katolicki w Polsce nie chciał potępić wypadków w sposób przyjęty przez komunistów, a zatem Kościół ten jest antysemicki i ponosi odpowiedzialność za wydarzenia w Kielcach. Dlatego też jest uzasadnione podjęcie z nim walki i skuteczne jego osłabienie. Już w trzy dni po wypadkach zapowiedział to Osóbka-Morawski w swoim przemówieniu.
5. Domaganie się przez PSL likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i ograniczenia postępowania rządu tymczasowego jest szkodliwe, ponieważ w społeczeństwie polskim nadal wpływ mają elementy faszystowskie, wobec czego postępowanie władz jest uzasadnione (...)" (R. Buczek "Na przełomie dziejów. Polskie Stronnictwo Ludowe w latach 1945-1947", Toronto 1985, s. 206-207).

Bardzo szybko miało się okazać, że nie ma żadnych dowodów udziału jakichkolwiek "reakcjonistów", "andersowców" etc. w zajściach kieleckich, żadnego z nich nie aresztowano i nie skazano. W wyroku nie znalazło się też **ani jedno słowo** na ich temat. Atakując PSL, **całkowicie przemilczano fakt, że Mikołajczyk natychmiast potępił zajścia kieleckie**, ale cenzura skonfiskowała jego oświadczenie. Odrzucono też zaproponowany przez PSL projekt powołania specjalnej komisji wyłonionej przez wszystkie ugrupowania polityczne dla zbadania kulisów kieleckiej zbrodni.

Co wywoływało niechęć do Żydów

Znamienna była rola, jaką w propagandzie komunistycznej 1946 roku wokół zajść antyżydowskich w Kielcach przypisywano rzekomej "ciemnocie" kielczan, średniowiecznym fobiom zacofanego motłochu, który gotów jest uwierzyć w najsłynniejsze nawet bzdury o mordach rytualnych etc. Tego typu tezy, o dziwo, podejmowane są po dziś dzień w

niektórych tendencyjnych tekstach na temat zbrodni kieleckiej. Ton nadaje tu Krystyna Kersten, która, **by odwrócić uwagę od faktycznej roli NKWD jako inspiratora i organizatora zbrodni**, wini za nie "polskie fobie, uprzedzenia, mity korzeniami sięgające średniowiecza".

W pierwszych latach powojennych nie brakowało punktów zapalnych prowadzących do antyżydowskości w szerokich kręgach społeczeństwa polskiego. Nie były to jednak wcale żadne średniowieczne mity i fobie, religijne uprzedzenia "motłochu", jak tyle razy próbowano wmawiać w propagandowych opracowaniach. **Były różne realne czynniki niechęci, wynikające z konkretnego rozwoju wydarzeń w Polsce w pierwszych latach powojennych.**

Dywagacje o ciemnocie kielczan, ich przerażającym zacofaniu i wierze w średniowieczne banialuki o mordzie rytualnym, przesłaniają prawdę o istniejących rzeczywiście w ówczesnych Kielcach różnorodnych politycznych, gospodarczych i społecznych źródłach napięć w stosunkach z Żydami.

Z jednej strony chodziło o kontrasty ekonomiczne, prowadzące do niechęci. "wczesny wojewoda kielecki Eugeniusz Wiślicz-Iwańczyk wspominał, akcentując:

"Błędy w beztroskim zachowaniu Gminy Żydowskiej, polegające na jaskrawej różnicy w wysokim poziomie życia bez produkcyjnej pracy, kiedy robotnicy dosłownie głodowali (...). W Kielcach najliczniejsza grupa Żydów zamieszkiwała w dużej kamienicy przy ul. Planty 7 (...). Ta, zdawałoby się mała społeczność żydowska, stała się bardziej widoczna, ponieważ żyła na dużo wyższym materialnym poziomie od spauperyzowanego w czasie długoletniej wojny środowiska polskiego. Drogie garnitury, złote obrączki na palcach, mnogość pieniędzy i widoczna niechęć do podejmowania nieopłacalnej wówczas pracy, nie mogły zostać niezauważone przez społeczeństwo polskie. (cyt. za "Antyżydowskie wydarzenia kieleckie 3-4 lipca 1946 roku. Dokumenty i materiały" oprac. Stanisław Meducki, Kielce 1994, t. II, s. 81, 83).

Tendencyjni autorzy gruntownie przemilczają jedną z najważniejszych przyczyn nasilania się niechęci do Żydów w Kielcach - **chodziło o szczególnie duże zgromadzenie się osób pochodzenia żydowskiego w kieleckim aparacie władzy, w UB i PPR.**

Żydami z pochodzenia byli: prezydent miasta Kielce Zarecki, szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) Andrzej Kornecki (Dawid Kornhendler), sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PPR Józef Kalinowski, kierownik Wydziału Personalnego KW PPR Julian Lewin, zastępca szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) Albert Grünbaum, szefowa Sekretariatu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Eta Lewkowicz-Ajzenman, dowódca oddziału wojskowego wysłanego na pomoc Żydom na Plantach major Konieczny, szef wydziału personalnego WUBP (Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego) Marian (po wyjeździe z Polski występował jako Morris) Kwaśniewski (dane za książkami: "Antyżydowskie... s. 81, 102, 106, 139; "Zabić Żyda. Kulisy i tajemnice pogromu kieleckiego 1946", oprac. Tadeusz Wiącek, Kraków 1992, s. 6 i 11; K. Kąkolewski "Umarły cmentarz", Warszawa 1996, s. 43-44, 81, 144-145 i J. Śledzianowski "Pytania nad pogromem kieleckim", Kielce 1999, s. 52, 65, 77, 138).

Najgorsze problemy wywoływał fakt, że duża część z wymienionych powyżej dygnitarzy i funkcjonariuszy pochodzenia żydowskiego nie była ani osobami uczciwymi, ani

kompetentnymi. Przynajmniej o paru z nich wiemy, że wywoływali powszechne oburzenie swymi nadużyciami.

I tak na przykład fatalną sławą w Kielcach cieszył się prezydent miasta Zarecki. Jak pisano w sprawozdaniu instruktorów KC PPR z pobytu w wojewódzkie kieleckim w czasie od 4 do 15 lipca 1946 r.: *"Niekórtym partyjniakom polskim wydaje się nawet, że Komitet Centralny faworyzuje Żydów - toleruje nawet nadużycia - o ile popełnia je Żyd. Wysuwany jest przykład Prezydenta miasta Kielc, którym był Żyd Zarecki. **Popęłnił on szereg nadużyć: miejscowa organizacja wyrzuciła go z Partii, Komitet Centralny przywrócił mu prawa członka Partii. Zarecki wyjechał na Zachód, gdzie również popełnił szereg nadużyć**"* ("Antyżydowskie...", s. 139).

Celował w nadużyciach także inny towarzysz pochodzenia żydowskiego - szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Andrzej Kornecki. Według tekstu Włodzimierza Kalickiego ("Zabij Żyda" w "Gazecie Wyborczej" z 7-8 lipca 1990): *"Zwolenników PPR irytowała z kolei wszechwładza osób pochodzenia żydowskiego. Poprzedni szef WUBP Andrzej Kornecki wedle ówczesnych relacji wielokrotnie popełnił rozmaite wykroczenia i nadużycia - i zawsze był ratowany przez władze zwierzchnie"*. Wojewoda Wiślicz-Iwańczyk zarzucał z kolei Korneckiemu prowokacyjne łamanie praworządności. **Powszechnie dominowała opinia łącząca UB z Żydami.** Włodzimierz Kalicki we wspomnianym tekście pisał, że: *"Milicjanci nie cierpieli UB, utożsamianego z Żydami (...)"*.

Był jeszcze jeden groźny punkt zapalny w stosunkach polsko-żydowskich. Od pierwszych miesięcy 1946 r. przybywały do Polski kolejne transporty repatriantów Żydów. **W połowie 1946 r. liczba Żydów w Polsce wynosiła 244 tysiące. Równocześnie z repatriacją Żydów z ZSRS do Polski, w tym samym czasie, w przeciwnym kierunku - do Rosji Sowieckiej - szły zupełnie inne pilnie strzeżone transporty kolejowe, pełne polskich patriotów z AK wywożonych na Syberię.**

Świadomość negatywnych nastrojów wobec Żydów, panujących w Kielcach w połączeniu z faktem, że było to jedno z najbardziej antykomunistycznych miast w Polsce, leżała prawdopodobnie u podstaw decyzji zorganizowania zajęć antyżydowskich właśnie w tym mieście. Organizatorzy prowokacji liczyli, że hasło: "Bij Żyda!" wywoła tam szerokie poparcie. W rzeczywistości, wbrew kłamstwom propagandy komunistycznej, do zajęć zainicjowanych przez wojsko i milicję nie przyłączyły się żadne większe grupy ludności, a tym bardziej elementy "reakcyjne" i "antykomunistyczne", które mogłyby stać się idealnymi obiektami późniejszych procesów.

Część III

Zdumiewa upór, z jakim niektórzy tropiciele "polskiego antysemityzmu" próbują zafałszować prawdziwy obraz prowokacji kieleckiej 1946 roku wbrew prawdzie historycznej. Negując jakże wiele dowodów na to, że zajęcia były zorganizowane przez agenturę NKWD i bezpiekę, idą dosłownie w zaparte, by przedstawić zbrodnię kielecką jako rzekomy, samoistny wybuch złowieszczej antysemickiej ciemnoty kieleckiego motłochu i działań polskiej "reakcji". Zupełnie w tym samym stylu jak to robiono, i to na jakże szeroką skalę, w dobie rządów komunistycznych, bezpośrednio po prowokacji kieleckiej. A tymczasem fakty aż nadto mówią za siebie. Dość przypomnieć choćby, jakże wyraźnie wskazujący na rolę komunistycznych władz i komunistycznego aparatu

przemocy, przebieg samych 1-lipcowych zająć antyżydowskich w Kielcach 1946 roku. I kolejną, układającą się w swoistą mozaikę serię wydarzeń, takich jak zacieranie śladów zbrodni przez władze, likwidowanie niewygodnych świadków i przebieg sfabrykowanego procesu w sprawie zbrodni kieleckiej, prowadzonego najwyraźniej tak, aby nie znaleźć prawdziwych winnych.

H. Błaszczyk, syn ubeka

Jak wiadomo, cała prowokacja kielecka zaczęła się od puszczenia pogłosek o porwaniu przez Żydów małego Henryka Błaszczyka, który - jak głoszono - przypuszczalnie padł ofiarą mordu rytualnego. W rzeczywistości mały Henryk był ukrywany w jakimś nieznanym miejscu. Wśród tych, którzy rozpowszechniali pogłoskę, był sam Walenty Błaszczyk, ojciec rzekomo porwanego Henryka. Dziś wiemy, że ojciec rzekomo uprowadzonego chłopca był sam agentem kieleckiej służby bezpieczeństwa i działał pod pseudonimem "Przelot". O jego agenturalnej roli piszą zgodnie Michał Chęciński, były oficer WP żydowskiego pochodzenia (w tekście "Moskiewski trop" na łamach "Gazety Wyborczej" z 5 lipca 2000 r.), Krzysztof Kąkolewski w książce "Umarły cmentarz" (Warszawa 1996, s. 75) i ksiądz Jan Śledzianowski w książce "Pytania nad pogromem kieleckim" (Kielce 1999, s. 39). Ksiądz Śledzianowski cytował w swojej książce rozmowę z Henrykiem Błaszczukiem, który jednoznacznie opowiadał o roli jego ojca i ubeków w prowokacji kieleckiej. Zapytany przez ks. Śledzianowskiego: "(...) Czy nie uważa pan, że ojciec pański w tej sprawie bardzo zawinił?", Henryk Błaszczyk odpowiedział m.in.: "Na pewno! Przecież później oni do ojca przychodzili (...) Ubowce! Ja ich znałem z widzenia. (...) Widziałem jak zakutych ludzi ściągali z samochodów... Szybko rozpoznawałem aresztowanych więźniów i tych, którzy pilnowali, bili w różny sposób, popychali, kopali. Tych ubowców rozpoznawałem potem u nas na Podwalnej. Przychodzili do ojca, palili papierosy i pili wodę (...). W naszym mieszkaniu to była taka melina UB. Nawet jeden z tych ubowców ożenił się u ojca brata z córką (...)". (J. Śledzianowski, op. cit., s. 24-25).

A oto fragment dalszego dialogu między ks. J. Śledzianowskim a Henrykiem Błaszczukiem: "- Czy ojciec za tę przysługę dla UB, że sam kłamał i 8-letniemu dziecku nakazał kłamać, coś od ubowców czy peperowców otrzymał? Jakies pieniądze?

- Na pewno! Coś za to otrzymał (...).

- A co matka? Czy ona też była w to wmieszana?

- Nie wiem. Pamiętam, że po śmierci ojca zawsze mówiła, żeby z nikim o tym nie rozmawiać. W czasie 'Solidarności', jeszcze przed stanem wojennym, kiedy różni ludzie zaczęli się sprawą interesować i odnajdywali mnie, matka prosiła, abym nic nie mówił, bo zginę (...). (cyt. za J. Śledzianowski, op. cit., s. 25-26).

Inna sprawa, że na swój sposób zatroszczono się, żeby Henryk Błaszczyk nic nie mówił o tym, co się naprawdę stało w Kielcach w 1946 roku, związując go pracą z PZPR. Przez wiele lat, aż do rozwiązania PZPR, Henryk Błaszczyk pracował - z bronią w ręku - w ochronie gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Kto mordował Żydów w Kielcach?

W tendencyjnych artykułach i wypowiedziach na temat zbrodni kieleckiej 1946 roku próbowano przedstawiać ją jako wynik rozszalałych działań ogromnego tłumu "zdziczałych, krwiożerczych, antysemitycznych" Polaków. "Wprost" pisało na przykład, że to 20 tysięcy mieszkańców Kielc biło i mordowało Żydów. Prasa amerykańska w różnych okresach pisała o 30, a nawet 70 tysiącach mieszkańców Kielc uczestniczących jakoby w pogromie, co stanowiłoby więcej niż cała ówczesna ludność Kielc (por. K. Kąkolewski, op. cit., s. 144).

Warto więc przypomnieć, że najbardziej wiarygodni świadkowie wydarzeń, jak Andrzej

Drożdżeński ("Polityka", nr 28 z 1990 r.), szacują tłum na około 300 osób.

Trzeba znać dobrze topografię tamtego terenu, by wiedzieć, że na placu przed domem nad Plantami, gdzie doszło do zbrodni, w żadnym razie nie mogły się zmieścić tysiące osób, jak głoszą kłamliwi publicyści.

Sędzia Andrzej Jankowski, dyrektor Okręgowej Komisji ds. Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Kielcach, stwierdził wprost: "Zacznę od liczb, gdyż podaje się je zwykle zawyżone. Np. tygodnik 'Wprost' pisze, że 20 tys. kielczan biło Żydów. Jest to fizycznie niemożliwe, jako że przy domu żydowskim na Plantach mogło się zmieścić co najwyżej 500 osób. Przy czym zdecydowana większość to byli gapie. Cywilnych uczestników pogromu mogło być jednorazowo maksymalnie kilkudziesięciu (cyt. za J. Pisiewicz, Sprawa ciągle niejasna, "Słowo - Dziennik katolicki" nr 199 z 1996 roku). Taki "tłum", złożony w przeważającej części z gapiów, mogła z łatwością rozproszyć niewielka nawet jednostka wojska, milicji czy UB. A przypomnijmy, że w tym okresie w Kielcach stacjonowały duże liczebnie formacje wojska i różnych sił porządkowych ze względu na fakty, że Kieleckie "było jednym z najsilniejszych centrów działania partyzantki antykomunistycznej". Krzysztof Kąkolewski pisał w "Umarłym cmentarzu" (s. 145) o obliczeniach Zenona Wrony szacującego na 215 osób liczbę stacjonujących w Kielcach żołnierzy (z wojska, KBW, informacji wojskowej, żandarmerii wojskowej) pracowników UB, pracowników MO. Do tego Kąkolewski dolicza jednak jeszcze pominięte przez Wronę takie jednostki, jak II Kompania KBW, szkoła milicyjna, służba ochrony gmachów - budynków UB. Do tego dochodził również stacjonujący w Kielcach garnizon sowiecki. Warto w tym kontekście przypomnieć uwagi Michała Chęcińskiego, b. oficera WP pochodzenia żydowskiego. W swym artykule na temat zbrodni kieleckiej, publikowanym w "Gazecie Wyborczej" z 5 lipca 2000 roku, Chęciński pisał, że: "(...) rok wcześniej podczas pogromu w Krakowie radzieckie czołgi wyruszyły na ulice Krakowa i niezwłocznie ochłodziły zamiary tłumy. W Kielcach garnizon radziecki znajdował się kilkaset metrów od miejsca pogromu".

Tylko że dowódcy sowieccy nie zrobili niczego dla spacyfikowania sytuacji przed domem na Plantach, podobnie jak nic nie zrobili dowódcy polskich jednostek wojskowych czy UB. Przeciwnie, to właśnie wojskowi pierwsi zaczęli mordowanie Żydów. To oficer informacji wojskowej strzelił w głowę przewodniczącemu Komitetu Żydowskiego w Kielcach Sewerynowi Kahane. (por. J. Śledzianowski: op. cit., s. 54; K. Kąkolewski, op. cit., s. 156). Znamienne jest, jaka go za to później spotkała "kara". Według K. Kąkolewskiego (op. cit., s. 157): "Oficer informacji został aresztowany, a później został zwolniony w ramach 'powyborczej 1947 amnestii'. Dodajmy, że amnestia ta była przeznaczona dla niewinnie oskarżonych AK-owców i zapędzających więzienia WiN-owców, ale skorzystał na niej nazistowski komunistyczny morderca Żydów". Według tajnego raportu opracowanego przez ks. biskupa Czesława Kaczmarka: "dwie trzecie Żydów zostało zamordowanych przy pomocy broni używanej przez wojsko" (wg K. Kąkolewski, op. cit., s. 119). Także kard. August Hlond mówił w rozmowie z włoskim dziennikarzem, przedstawicielem włoskich Żydów Ballonim: "mordercami nie był lud, ale milicja, która podjęła walkę z biednymi Żydami (...)" (tamże s. 120). K. Kąkolewski pisał (op. cit. s. 80): "Wszyscy najbardziej tendencyjnie nastawieni autorzy piszący o pogromie są zgodni co do tego, że wdarcie się grupy umundurowanych i cywilnych funkcjonariuszy wraz z trzema mężczyznami, którzy złożyli skargę, i dzieckiem, domniemanym świadkiem, stało się początkiem mordu". Znamienne było na tym tle zachowanie zastępcy szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach, ubeka żydowskiego pochodzenia Alberta (Fajwisza Altera) Grynbauma. Jak to przypominał Michał Chęciński na łamach "Gazety Wyborczej" z 5 lipca 2000 r.: "W gmachu WUBP [Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego - J.R.N.] miało się odbyć spotkanie uratowanych, potencjalnych ofiar pogromu z dziennikarzami zagranicznymi. Por. Grynbaum zjawił się tam o wiele wcześniej i apelował do zebranych, żeby nie ujawnili, jak haniebnie

zachowała się milicja i wojsko, bo wykorzystała to antysemicka reakcja. Większość świadków pogromu uległa namowom Grynbauma".

O tego typu zachowaniu Grynbauma wspominał też Jechiel Alpert, b. zastępca przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Wojskowego dr. S. Kahane. Opisał on, co następuje: "Pogrom był w czwartek. W piątek rano porucznik Albert [Grynbaum - J.R.N.] z UB prosił mnie, żebym pojechał do szpitala i rozpoznał zabitych, że tam będzie komisja sądowa i korespondenci amerykańskiej prasy i żebym im nie mówił, że to wojsko mordowało" (cyt. za J. Śledzianowski, op. cit. s. 102).

Warto dodać, że w zajściach antyżydowskich czynny udział wzięła jeszcze bojówka PPR - ORMO z huty "Ludwinów". Według sędziego A. Jankowskiego, było w niej 6 nieznanych robotników, którzy mieli broń, zaraz po pogromie zniknęli i przypuszczalnie byli prowokatorami. (por. J. Śledzianowski op. cit. s. 108). Niestety, księga zapisów działań ORMO przy hucie "Ludwinów" zginęła w latach 80. (tamże s. 105).

Ksiądz Śledzianowski przypuszcza, że w miejsce autentycznych robotników z "Ludwinowa", do zbrodniczej akcji na Plantach został skierowany w przebraniu robotniczym oddział majora Władysława Sobczyńskiego, uważanego za głównego organizatora zbrodni na zlecenie sowieckie. Znamienne, jak sam Sobczyński, szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach, usprawiedliwiał nieudzielenie przez podwładne mu jednostki pomocy Żydom obleżonym na Plantach. Twierdził on, że musiał odmówić skierowania swojego oddziału, zwanego szturmowym, na Planty, ponieważ jego ludzie byli zmęczeni po całonocnej akcji (J. Śledzianowski, op. cit. s. 109).

Majora Sobczyńskiego ze względu na jego wyjątkowe służalstwo wobec Sowietów jeszcze przed tragedią na Plantach nazywano majorem "Sabaczyńskim". Przypisywano mu już wcześniej organizowanie - w celach prowokacyjnych - z ramienia UB w czerwcu 1945 r. nieudanego pogromu Żydów w Rzeszowie. Jego doradcą sowieckim był płk Szpilewoj, agent "Natan", z pochodzenia Żyd sowiecki z NKWD (MWD) (J.

Śledzianowski, op. cit., s. 78). Chęciński uważa, że płk Szpilewoj był prawdopodobnie "pochodzenia polsko-żydowskiego". sowieckim koligacjom przypisuje się to, że major Sobczyński nie został nigdy ukarany za rolę w zbrodni kieleckiej, został uniewinniony, a później szybko awansował na kolejne wpływowe stanowiska.

Likwidowanie niewygodnych świadków

Wśród argumentów dowodzących, że zbrodnia kielecka była świadomie przygotowaną prowokacją, ważną rolę odgrywają liczne przykłady zabójstw lub przyspieszenia śmierci niewygodnych świadków wydarzeń. Pierwszym takim przypadkiem zgonu ważnego świadka wydarzeń - w podejrzanych okolicznościach - była śmierć Alberta (Fajwisza Altera) Grynbauma, zastępcy szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach. Zginął on już w zaledwie 5 tygodni po zajściach kieleckich - 12 sierpnia 1946 roku, na trasie z Warszawy do Kielc. Zabójstwo Grynbauma przypisywano rzekomemu atakowi partyzantów WiN-u z grupy "Dołęgi". Tyle że, jak pisał K. Kąkolewski, (op. cit. s. 152): "Sądzeni przez sąd ówczesnej RP, żołnierze grupy WiN "Dołęgi" nie byli oskarżeni o zabójstwo A. Grynbauma. Należy więc przypuszczać, że Grynbaum został zabity przez "naszych partyzantów". (Chodziło o działające wówczas związane z bezpieczeństwem oddziały pozorowanej partyzantki, wykonującej "na konto podziemia" działania, którymi komuniści chcieli to podziemie obciążyć.)

Cytowany już b. żydowski oficer WP Michał Chęciński pisał o tajemniczym, a tak wygodnym dla sprawców zbrodni zgonie Grynbauma: "Nie ulega wątpliwości, że Grynbaum wiedział wiele, jeżeli nie za wiele, o kulisach pogromu. Miał liczną agenturę wśród mieszkańców

Kielc i zapewne próbował po pogromie ustalić wiele zagadkowych szczegółów, co należało zresztą do jego obowiązków służbowych" (M. Chęciński, op. cit.). Grynbaum zginął razem ze swym starym kolegą Henrykiem Ochinem, funkcjonariuszem Komitetu Miejskiego PPR, zięciem prezydenta Kielc. Chęciński (op. cit.) przypomina w tym kontekście: "od wyjazdu [Grynbauma i Ochina w sierpniu 1946 r. - J.R.N.] wszelki ślad po nich zaginął. Rodziny zaginionych interweniowały u ministra bezpieczeństwa Radkiewicza, domagając się wyznaczenia komisji, która wyjaśniałaby okoliczności ich zaginięcia. Natrafiały na mur milczenia. Można wytłumaczyć śmierć tej dwójki trwającą wówczas wojną domową. Ktoś z podziemia mógł ich w drodze do Warszawy zamordować. Zdziwienie budzi wszakże nieobecność ich nazwisk w wykazach ofiar bratobójczych walk w Polsce, choć wymienia się tam nawet nazwiska szeregowych milicjantów" (zob. np. album "Walka" wydany w 1965 r.). Chęciński pisał: "W dziwnych okolicznościach zginęli też inni wtajemniczeni świadkowie pogromu. Wkrótce po tych tragicznych wydarzeniach ginie, otruty w szpitalu, kierowniczy pracownik - WUBP Kielce - Majewski, przedwojenny komunista znany z uczciwości i bezkompromisowości. Pielęgniarski, który otrul Majewskiego, umiera tego samego dnia, gdy nadchodzi ekspertyza potwierdzająca, że Majewski został otruty. Ten splot dziwnych 'przypadków' nie został do dziś wyjaśniony". Pisałem już o tym, że uniknął kary, pomimo przejściowego aresztowania, oficer bezpieki, szef WUBP, major Władysław Sobczyński, dziś podejrzewany o to, że był faktycznym organizatorem całej antyżydowskiej prowokacji kieleckiej. Na tle jego dalszej historii, a zwłaszcza olśniewającej kariery, tym bardziej dają do myślenia represje, które uderzyły w ówczesnego Komendanta Wojewódzkiego MO, ppłk. Wiktora Kuźnickiego. Podobnie jak jego zastępca mjr Kazimierz Gwiazdowicz i mjr Sobczyński ppłk Kuźnicki był oskarżany o zaniedbanie obowiązków w dniu zajęć, ale przesiedział od nich znacznie dłużej. W ocenie Chęcińskiego, Sobczyńskiego i Gwiazdowicza uniewinniono, w odróżnieniu od Kuźnickiego, i widać było w czasie rozprawy w grudniu 1946 roku "zniekształcenie faktów w celu wybielenia Sobczyńskiego i Gwiazdowicza". Zdaniem Chęcińskiego, o nieporównanie surowszym potraktowaniu ppłk. Kuźnickiego zadecydowało jego niezastosowanie się do dyktowanych ogólnie reguł gry. Otóż - jak pisał Chęciński (op. cit.): "(...) Kuźnicki (...) domagał się, żeby jego proces odbył się jawnie i żeby powołano świadków, którzy mogliby dowieść jego niewinności. Zwracał się w tej sprawie do wszystkich możliwych instancji i przełożonych. Ponieważ nikt na jego prośby nie reagował zaczął w więzieniu głodówkę. Wypuszczono go z więzienia w stanie agonialnym. W domu kontynuował głodówkę. Po kilku tygodniach zmarł".

Krzysztof Kąkolewski pisze (op. cit. s. 134), iż "Wiktor Kuźnicki zaczął mówić nieostrożnie, że to, co się zdarzyło w Kielcach, było 'absolutną prowokacją'. Mówił o tym swym współwięźniom i Kąkolewski nie wyklucza, że w rezultacie UB poddało go torturom tak, że z więzienia 'powrócił w stanie ruiny fizycznej i psychicznej'. Zmarł w wieku zaledwie 44 lat". Dość nieoczekiwany tragiczny los spotkał później jednak również i b. zastępcę ppłk. Kuźnickiego - majora K. Gwiazdowicza. Po latach utonął - według jednej wersji w Wietnamie, według innej - w Laosie. Kąkolewski pisał (op. cit. s. 136): "Powierzono mu (...) ważną misję, ale czy przypadkiem nie po to, by jako nosiciela tajemnicy zgładzić potajemnie na obszarze bardzo dalekim od Polski".

Inną formą rozprawy z człowiekiem w niewygodny sposób dla władz drążącym sprawę zbrodni kieleckiej było zaszczucie i doprowadzenie do przedwczesnej śmierci prokuratora wojewódzkiego Jana Wrzeszcza. Prokurator ten, natychmiast na wieść o oblężeniu domu żydowskiego na Plantach, udał się tam na miejsce, chcąc, zgodnie z obowiązującym wówczas jeszcze prawem przedwojennej RP, przejąć władzę nad aparatem policyjnym i wojskiem zgromadzonym wobec budynku i przywrócić porządek. Na próżno domagał się od wojska rozproszenia tłumu albo przynajmniej "wywiezienia wszystkich oblężonych Żydów samochodami pod eskortą". Oficerowie wprost stwierdzili, że nie wydadzą takiego rozkazu.

Jak później zapisał, podpułkownik WP, z którym rozmawiał: "(...) odpowiedział mi, że prokurator go nic nie obchodzi i nic tu nie ma do powiedzenia, a następnie obrócił się do mnie tyłem (...)". (cyt. za J. Śledzianowski op. cit. Kielce 1999, s. 75). Nie powiodły się też próby interweniowania przez prokuratora J. Wrzeszcza w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. W dokumencie o wydarzeniach, sporządzonym po tragedii lipcowej 1946 roku i przechowywanym w Kurii Diecezjalnej w Kielcach zapisano m.in. o wypadkach po przybyciu prokuratora J. Wrzeszcza: "Całą akcją kierowało UB, w trakcie walk także sam Urząd Bezpieczeństwa wezwał wojsko, co było sprzeczne z przepisami prawa, gdyż w takich wypadkach posługiwać się wojskiem może tylko prokurator. Tymczasem prokuratorowi powiedziano, że jest niepotrzebny, gdyż akcją kieruje UB. Po tym fakcie prokurator złożył oficjalny raport do Województwa i Ministerstwa, zaznaczając, że odpowiedzialność za wypadki kieleckie spada wyłącznie na Urząd Bezpieczeństwa" (według J. Śledzianowski, op. cit., s. 76).

Dzień później prokurator J. Wrzeszcz uczestniczył w Łodzi w Zjeździe Delegatów Związku Zawodowego Pracowników Sądowych i Prokuratorskich RP jako prezes Okręgu Kieleckiego tego związku. Pisał o tym później m.in.: "zgłoszona została rezolucja potępiająca mord kielecki dokonany 'przez czynniki reakcyjne' oraz zawierająca stwierdzenie, że mord ten okrywa hańbą cały naród polski (...). W dyskusji zabrałem głos, mówiąc, że nie należy w rezolucji przesądzać, kto dokonał mordu, gdyż jeszcze dochodzenie nie ustaliło tego, a my jako sędziowie i prokuratorzy jesteśmy przyzwyczajeni do wydawania wyroku po dokładnym zbadaniu dowodów (...). Następnie powiedziałem, że hańba, jaka spada na nas, jest niezawiniona przez ten naród. Stoję bowiem na stanowisku odpowiedzialności indywidualnej, zgodnie z nowoczesną teorią prawa karnego i obowiązującym u nas kodeksem karnym. Zbiorowa odpowiedzialność była bronią hitleryzmu i nasz naród oraz naród żydowski najbardziej odczuli skutki tej odpowiedzialności na sobie. Za zbrodnie chuliganów oraz niedołęstwo pewnych czynników nie może spadać odpowiedzialność na cały naród. Przemówienie moje spotkało się z gorącym przyjęciem całej sali" (cyt. za K. Kąkolewski, op. cit., s. 125).

Już w kilka dni później prokuratora Wrzeszcza gwałtownie zaatakowano w organie KW PPR "Głos Robotniczy" w artykule pt. "Łajdactwo", nazywając go prokuratorem - obrońcą czarnej sotni (a więc grup antysemitcko-szowinistycznych w stylu tych inspirowanych niegdyś przez carską Ochronę). Jeden z najgorszych politruków pochodzenia żydowskiego, b. agent GPU-NKWD, a w 1946 roku wiceminister sprawiedliwości, Leon Chajn zaatakował prokuratora Wrzeszcza, insynuując, jakoby bronił on morderców z Kielc. J. Wrzeszcza natychmiast zawieszono w pełnieniu funkcji prokuratorskich. Zapowiedziano wytoczenie mu postępowania dyscyplinarnego, ale nic takiego nie zrobiono. Prokurator Wrzeszcz zdecydował się na odejście z aparatu sprawiedliwości i przejście do adwokatury. Został radcą prawnym Kurii Kieleckiej i osobiście biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka. Bezpieka nie zapomniała jednak o nim. Wraz z rozpoczętą później akcją przeciwko biskupowi Kaczmarkowi aresztowano również i b. prokuratora. Przesiedział dwa lata na Mokotowie, gdzie przeszedł niezwykle brutalne śledztwo. Według relacji jego syna, zmarł przedwcześnie, świadomie zarażony gruźlicą (zamknięto go w więzieniu z umierającym na gruźlicę więźniem Niemcem, który miał otwartą gruźlicę, jej ostatnią fazę). Według relacji syna prokuratora Wrzeszcza, w momencie przyjmowania jego ojca po przywiezieniu go z Kielc na Mokotów oficer bezpieki powiedział mu od razu "na przywitanie": "My cię znamy skurwysynu od dawna. I ty już stąd nie wyjdiesz". (cyt. za J. Kąkolewski, op. cit., s. 128). Syn prokuratora Wrzeszcza mówił później: "(...) Aresztowanie i powiązanie ojca ze sprawą biskupa Kaczmarka było absolutną zemstą... Tak, była to przeokrutna zemsta. Myślę że cena, którą zapłacił za całokształt postawy, to było skrócenie jego życia. Po pogromie terror był bardzo głęboko odczuwalny, zakorzeniony. To było zamówienie, żeby pokazać, że Polacy są

straszliwi, krwiożerczy, że trzeba trzymać ich za mordę. To potem realizowano do końca (...)" [podkr. J.R.N.] (cyt. za J. Kąkolewski, op. cit., s. 128).

Kilka dziesięcioleci później, w latach 90., doszło do tajemniczego wypadku samochodowego, w którym o mało nie zginął sam Henryk Błaszczyk. Wyszedł z niego ze wstrząsem mózgu, złamaną ręką, uszkodzeniem kręgosłupa. Sprawczyni wypadku, jakoby pracownik ambasady polskiej w NRF, zniknęła. Na listy poszukujące jej nie otrzymano odpowiedzi (zob. szerzej: K. Kąkolewski, op. cit. s. 90).

Część IV

Szczególnie kompromitujący dla komunistycznych inscenizatorów zbrodni kieleckiej stał się pośpiesznie zorganizowany przez nich proces sądowy. Podobnie jak we wspomnianych wcześniej innych procesach tego typu, po prowokacyjnych pogromach w Słowacji czy na Węgrzech sowieckim reżyserom tych prowokacji chodziło przede wszystkim o gruntowne zatuszowanie prawdy o kulisach popełnionych przez nich zbrodni. Podobnie jak w tamtych krajach także w Kielcach nie ukarano prawdziwych sprawców zająć antyżydowskich, lecz skupiono się na "odpowiednim" ukaraniu odpowiednio wyselekcjonowanych przez komunistów osób, które miano uczynić głównymi winnymi. Kielecki proces stał się taką parodią sprawiedliwości, przy której z góry zadbano, aby nie padły podejrzenia na winnych z bezpieki, NKWD, wojska czy milicji. Istnieje aż nadto wiele dowodów pokazujących, że proces mający sędzić rzekomych winnych zbrodni w Kielcach był faktycznie tylko pokazowym procesem sfabrykowanym według wszystkich reguł "sowieckiej sprawiedliwości" dla uderzenia w opozycję w Polsce i odwrócenia uwagi od prawdziwych komunistycznych sprawców.

Raport biskupa kieleckiego

Pierwszą i nieocenioną wprost demaskacją fałszów procesu domniemanych sprawców zbrodni kieleckiej był tajny raport biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka, przygotowany już w dwa miesiące po zajściach antyżydowskich w lipcu 1946 roku. Raport ten nieznanymi przez dziesięciolecia w Polsce szybko dotarł do adresata, którego ks. biskup Kaczmarek uznał za szczególnie cennego z punktu widzenia walki o prawdziwy obraz wydarzeń w Polsce - ówczesnego amerykańskiego ambasadora w komunistycznej Polsce Artura Bliss-Lane. Był on autentycznym przyjacielem Polski i z ogromnym rozgoryczeniem patrzył na to, jak Zachód porzucił Polskę na łaskę i niełaskę nowych sowieckich okupantów¹. Przygotowany przez ks. biskupa Kaczmarka tajny raport o zbrodni kieleckiej w oparciu o pieczołowicie zebrane fakty jednoznacznie odślaniał całą istotę pokazowego procesu zmontowanego przez komunistyczne władze.

Według raportu: "(...) Piętą achillesową urzędowego przedstawienia wypadków kieleckich jest niewątpliwie proces sądowy w tej sprawie. Rzuca on cień na szczerść tych, którzy go prowadzili i zdradza ich istotne tendencje. Do odpowiedzialności pociągnięto 12 osób, w tym tylko 8 spośród tych, którzy brali udział w zajściach. Jeśli się zwróci uwagę na to, że zamordowanych było 39 osób, a rannych 40, to liczba oskarżonych jest wysoce niewspółmierna do liczby zabitych i rannych. Prokurator rządowy jednak inaczej postąpić nie mógł, gdyż istotnie spośród osób cywilnych zabijających było niewielu, 2/3 Żydów wymordowali i poranili milicjanci, żołnierze i robotnicy, a tych jako ludzi rządowych do odpowiedzialności prokurator pociągnąć nie chciał. (...)

Na proces przyjechał najwyższy sąd wojskowy, choć według prawa nie jest on kompetentny

do sądzenia spraw w pierwszej instancji ani do sądzenia spraw osób cywilnych, o ile ich czyn nie pozostaje w bezpośrednim związku z przestępstwem osób wojskowych. Władzom rządowym chodziło, zdaje się, o dobór takich sędziów, którym by można było zaufać. Byli też nimi niejacy Marian Bartoń, Antoni Łukasik i Stanisław Baraniuk. Pierwszy z nich miał wybitnie cechy mongolskie, nie wyglądał na Polaka, dwaj pozostali mieli wygląd semicki. Innym zupełnie dziwnym pogwałceniem prawa był fakt, że o zajściach w dniu 4 lipca nie powiadomiono wcale prokuratora miejscowego, nie on też oskarżał przed sądem, lecz również specjalnie przysłany prokurator sądu najwyższego major Szpondarski oraz miejscowy prokurator sądu wojskowego, Żyd Golczewski. Do obrony powołano z urzędu 5-ciu adwokatów, w tym tylko dwóch obrońców wojskowych, trzech zaś cywilnych. Gdy ci ostatni podnieśli zarzut, że nie są kompetentni do stawania w sądach wojskowych, sąd odpowiedział, że istotnie mógłby wyznaczyć na obrońców nawet żołnierzy, ale kieruje się dobrem oskarżonych. Nawiasem mówiąc spośród tych trzech obrońców cywilnych, jeden z nich Zenon Wiatr jest znany jako żyjący b. dobrze z kołami PPR, w ten sposób dwaj pozostali byli zmajoryzowani. Rola ich była tym trudniejsza, że nie występowali nigdy w sądach wojskowych, a co więcej ze sprawą nie zdążyli się nawet zapoznać. Oto 8 lipca po południu zawiadomiono ich, że mają występować w sprawie zajść kieleckich dnia następnego o godzinie 9-iej rano. W ten sposób nie dano im nawet 24 godzin do przygotowania obrony, co więcej uniemożliwiono im porozumienie z oskarżonymi. (...)"

Akt oskarżenia przeczytano podsądnym dopiero na godzinę przed rozpoczęciem rozprawy wbrew kodeksowi postępowania wojskowego, który "daje oskarżonym 3 dni czasu od wręczenia lub odczytania aktu oskarżenia do rozprawy. Wprawdzie podsądni podpisali oświadczenie, że zrzekają się tego przysługującego im okresu 3 dni, ale dziwne jest, że zgodzili się w ten sposób na utrudnienie zadania obrony, że nie porozumieli się w tej sprawie uprzednio z obrońcami, dziwniejsze, że zrobili to wszyscy, jeszcze dziwniejsze, że pozwolił na to sąd. Ten zupełnie niezrozumiały krok oskarżonych można wytłumaczyć jedynie tym, że tak im zrobić kazano i to prawdopodobnie w sposób jaki jest praktykowany w polskich więzieniach. Jeden z oskarżonych miał świeże rany na głowie, inny wyraźnie powiedział na rozprawie, że go bito podczas śledztwa. (...)

Uderzają w tym procesie poza tym dwie jeszcze niezwykle ciekawe okoliczności. Pierwsza to wygląd oskarżonych i ich zeznania. Prawie wszyscy mieli wygląd ludzi przestraszonych, jeden z nich powiedział, że go bito w więzieniu, innemu, który chciał odwołać swe zeznania uczynione w śledztwie, prokurator groził, że spotka go (...) - choć zorientowawszy się nie dokończył zdania. (...) W zeznaniach swych większość oskarżonych przyznawała się do wszystkiego, niektórzy mówili więcej nawet na swoją niekorzyść niż powiedzieli podczas śledztwa, a wszyscy podawali to, czego od nich żądano. Słowem był to typowy proces taki, jakie się często odbywają na Wschodzie, a które dotąd są tajemnicze dla ludzi Zachodu. Prokurator Golczewski w swym oskarżeniu obszernie opowiadał o faszyzmie i reakcji, choć na omówienie tła i początku zajść sąd nie pozwolił, ubliżał obrońcom, choć byli przecież naznaczeni z urzędu, obrzucał błotem patriotyzm i honor Polaków, choć to miało miejsce w polskim sądzie, napadał na Kościół katolicki, choć przedstawiciele tego Kościoła nie pytano wcale, co sądzą o wypadkach kieleckich. Bez żadnego dowodu, bez przytoczenia choćby jednego świadectwa przyjął za pewnik, że chodziło o pogrom zorganizowany przez podżegaczy spod znaku Andersa i że tłum pierwszy wpał na spokojnych, niewinnych Żydów. Sąd nie zajął się sprawdzaniem prawdy tych powiedzeń, nie przeprowadził na ten temat śledztwa, nie dopuścił proponowanych przez obronę świadków, odrzucił wszystkie wnioski obrony. Nie pozwolił na omawianie genezy zajść i udziału w nich milicji, [Urzędu] Bezpieczeństwa i wojska. Rozprawie nie przewodniczył żaden z sędziów, lecz sam prokurator udzielał głosu obrońcom i oskarżonym. Zamiast stwierdzić tylko winę oskarżonych, skoro na inne tematy mówić nie pozwolono, sąd w wyroku swym przyjął bez dowodu łączność zajść

kieleckich z zagranicą, uznał wypadki za dzieło agentów generała Andersa. Zabawił się nawet w propagandę twierdząc, że Polska Ludowa musi walczyć z pozostałościami faszystów (...)"². W raporcie ks. biskupa Czesława Kaczmarka zwrócona została również szczególnie duża uwaga na prawdziwe, jakże tendencyjne cele odpowiednio przygotowanego przez władze zmanipulowanego procesu. Według tego raportu: "(...) Sądowi nie chodziło widać o zbadanie przyczyn zbrodni, lecz o wyzyskanie jej dla celów propagandowych, o użycie jej na korzyść polityki Rządu. W związku z tym pozostaje druga ważna okoliczność. Wypadki kieleckie niezależnie od ich tła, niezależnie od tego, że były sprowokowane, niezależnie od tego, że władze rządowe mogły, lecz nie chciały do nich nie dopuścić, były jednak zbrodnią, zostawiającą plamę na społeczeństwie polskim. Wiadomo było, że czynniki wrogie Polsce będą się starały atakować ją z tego powodu. Każdy uczciwy rząd polski, tak jak każdy rząd na świecie, z obowiązku starałby się przedstawić wypadki kieleckie jak najsumiennie, podać wszystkie okoliczności łagodzące, bo takie były niewątpliwie, zabijający w Kielcach nie byli przecież zawodowymi zbrodniarzami. W tym wypadku zaniechano tego jednak, a nawet z góry zabroniono poruszać te okoliczności łagodzące, nie dopuszczono do omawiania prawdziwego początku zająć, starając się w ten sposób o ułatwienie roboty czynników zohydżających społeczeństwo polskie. Sąd kielecki, odbyty w dniach 9-11 lipca, wykazał niezbicie, że tymczasowemu rządowi polskiemu chodziło o przedstawienie wypadków kieleckich z 4 lipca w świetle możliwie jak najgorszym (...)"³.

Te i inne nader ostre demaskatorskie stwierdzenia w raporcie ks. biskupa C. Kaczmarka, choćby zaakcentowanie, że "cały proces był tylko parodią", ściągęły później na biskupa zemstę władz komunistycznych. Szereg autorów jednoznacznie konkluduje, że bezlitośnie prowadzony w 1953 roku proces przeciw tak odważnemu kieleckiemu biskupowi był ewidentnie przejawem zemsty za jego próbę odkrycia prawdy o autentycznych sprawcach zbrodni kieleckiej, za przeciwstawianie się próbom obciążania Narodu winą za komunistyczną prowokację⁴.

Sfabrykowany proces

Bardzo podobne oceny przebiegu pokazowego procesu w sprawie zająć kieleckich znajdujemy w najgruntowniejszych i najobiektywniejszych relacjach na ten temat, poczynawszy od odpowiedniego rozdziału świetnej książki polonijnego naukowca z Kanady Romana Buczka, wydanej w Toronto w 1983 r. "Na przełomie dziejów. Polskie Stronnictwo Ludowe w latach 1945-1947", książki ciągle nazbyt mało znanej w kręgach polskich historyków i publicystów.

Buczek pisał bez ogródek: "(...) Najślabszą stroną przedstawionego przez komunistów przebiegu wypadków kieleckich był niewątpliwie sam proces sądowy. Rzuca on nie tylko cień na procedurę, ale przede wszystkim wyjaśnia nam prawdziwe zamierzenia PPR. Na ławie oskarżonych zasiadło 12 osób, ale tylko 8 spośród nich brało udział w zająciach. Gdy weźmiemy pod uwagę, że zamordowanych było 39 osób i rannych 40, to zobaczymy rażącą niewspółmierność liczby oskarżonych do ilości zabitych i rannych. Władze jednak inaczej postąpić nie mogły, ponieważ wśród osób cywilnych zabijających było niewielu. Dwie trzecie Żydów wymordowali i poranili milicjanci, żołnierze i robotnicy z Ludwikowa, a tych trudno było komunistom stawiać przed sądem. (...)

Cały proces prowadził prokurator Golczewski, Żyd polski, będący od dawna na usługach NKWD. W sporządzonym przez niego akcie oskarżenia była mowa o faszystwie, reakcji, łączności z zagranicą oraz o zorganizowanym spisku na spokojnych, niewinnych Żydów przez agentów gen. Andersa. Brak jednak było rzeczy podstawowych, jak tło i geneza zająć kieleckich, udział w nich milicji, UB i wojska. Sąd nie tylko nie dopuścił świadków obrony,

lecz prokurator Golczewski jeszcze ubliżał obrońcom, chociaż byli powołani z urzędu i sprawa miała miejsce w polskim sądzie.

Fakt, że sąd nie przeprowadził na temat wypadków śledztwa i nie dopuścił wniosków obrony, lecz przyjął za pewniki wywody prokuratora, co do których nie było absolutnie żadnych dowodów, wskazuje wyraźnie, że 'sąd' ten działał na rozkaz, a cały proces był tylko smutną farsą. Sądowi temu bowiem nie chodziło o zbadanie przyczyn wypadków, ale o wyzyskanie ich wyłącznie dla celów politycznych i propagandowych. Wynikało to zresztą jasno z wywodów Golczewskiego, który w swoim oskarżeniu zapowiedział, że Polska Ludowa będzie walczyć z pozostałościami faszystów. (...)"5.

Pisząc o różnych ewidentnych sfałszowaniach w toku procesu, Buczek przypominał:

"(...) Oficjalny akt oskarżenia stwierdzał później zupełnie głośno, że 'pogrom' ludności żydowskiej w Kielcach był 'specjalnie przygotowany' przez WiN i przez NSZ. Wyjaśnienia tego, złożonego przez propagandę komunistyczną, przyjmując jednak nie można. Było bowiem rzeczą powszechnie znaną, zarówno z prasy, licznych procesów i opowiadań świadków, że organizacje podziemne rozporządzały znaczną ilością broni wszelkiego rodzaju i często staczały z oddziałami komunistycznymi wielkie bitwy. Więc jeżeli one przygotowywały, i to specjalnie, wypadki w Kielcach, to musieli być brać w nich udział ludzie uzbrojeni i przynajmniej połowa Żydów padłaby od kul broni ręcznej. Wśród zaś dowodów rzeczowych winny były się znaleźć jakieś pistolety czy karabiny. Tego nikt nie może kwestionować.

Prokurator Kazimierz Golczewski, który tak szeroko mówił o winie Andersowców i podziemia, z pewnością zwróciłby także uwagę i na broń tych czynników. Tymczasem przed stołem sędziowskim ustawiono stół, na którym złożono dowody rzeczowe: 'kamienie, cegły zbroszone krwią, kije, sztachety z płotów, rura od kaloryfera poplamiona krwią i rower damski'. Potwierdzili to następnie uczestnicy procesu. A więc nie było nigdzie mowy o broni palnej i brak było jakichkolwiek dowodów na 'specjalne przygotowanie' tych zajęć przez WiN czy NSZ.

Faktycznie dwie trzecie Żydów zostało zamordowanych bronią palną, ale nawet prokurator Golczewski nie ośmielił się oskarżyć o to tych organizacji. Aktem oskarżenia objęto 12 osób, ale tenże prokurator żadnej z tych osób nie zarzucił przynależności do WiN lub NSZ. W świetle powyższych danych należy uznać twierdzenie aktu oskarżenia o przygotowaniu wypadków kieleckich przez podziemne organizacje za pozbawione dowodów. Dalej akt oskarżenia podaje na poparcie swej tezy, że w tłumie wznoszono okrzyki: 'Bić Żydów', 'Niech żyje rząd sanacyjny', 'Niech żyje Anders', 'Niech żyje Hitler, który wymordował Żydów' itp. Pierwszy okrzyk jest zrozumiały, gdyż nie tylko nawoływano do bicia Żydów, ale bito faktycznie. Drugi już z góry należy uznać za niemożliwy; gdyby bowiem prokurator Golczewski był Polakiem lub przynajmniej orientował się w tym, co działo się w Polsce od roku 1939, to wiedziałby, jak dalece był niepopularny rząd sanacyjny. I jeżeli ktoś wznosił podobny okrzyk to dla żartu lub po pijanemu. W każdym razie nie wypadało tego powtarzać w akcie oskarżenia. Dwóch ostatnich okrzyków nikt absolutnie nie słyszał. Nawet w czasie procesu zapytywani o to świadkowie stanowczo faktowi temu zaprzeczyli. Niemniej jednak należy uznać, że okrzyk 'Niech żyje Anders' był wy tłumaczalny ze względu na wielką popularność generała, ale w zestawieniu z okrzykiem o rządzie sanacyjnym i o Hitlerze był po prostu wymysłem prokuratora dla celów propagandowych.

Podobnie przedstawia się sprawa z twierdzeniem aktu oskarżenia, iż 'ustalono niezbicie, że wśród podlegaczy i zabójców znajdowali się nawet umundurowani Andersowcy'. Chodziło tu zapewne o żołnierzy, którzy powrócili z Zachodu, ponieważ innych mundurów w Polsce nie było. Istotnie żołnierze ci mogli być w tłumie, jak również brać udział w zabijaniu. Ale akt oskarżenia sam obalał twierdzenie prokuratora, który jeżeli coś ustalił 'niezbicie', to daje na to dowody lub popiera swoją tezę zeznaniami oskarżonych i świadków. Tymczasem żadnego Andersowca nie tylko nie aresztowano, ale nawet nie zacytowano zeznań świadków. Tak

więc było to kolejne kłamstwo przeznaczone chyba tylko dla własnych zwolenników (...)"6.

Zastraszeni adwokaci

Nader wymowne świadectwo na temat metod użytych przy fabrykowaniu procesu przynoszą relacje uczestniczącego w procesie adwokata Stefana Grzywaczewskiego (w czasie procesu mecenas Grzywaczewski miał 30 lat). Przyznawał w swej późniejszej relacji, że on sam, będąc adwokatem, "na sali sądowej odczuwał strach"7.

Grzywaczewskiego w nocy przed procesem poinformował funkcjonariusz UB, że ma bronić Edwarda Jurkowskiego. Nie zapewniono mu żadnych możliwości skontaktowania się ze swym klientem. Na początku rozprawy dowiedział się, że ma bronić również innego oskarżonego Józefa Kuklińskiego.

W relacji dla Krzysztofa Kąkolewskiego mecenas Grzywaczewski opisywał: "(...) "smego lipca wieczorem, dzwonek do drzwi. Przychodzi do mnie funkcjonariusz UB. Wręcza mi pismo, że jestem wyznaczony obrońcą tego i tego (wymienia nazwiska, które Grzywaczewskiemu nic nie mówią) i podaje mi akt oskarżenia. Zawiadamia mnie, że proces zaczyna się na drugi dzień rano, a ja, nie znając akt ani oskarżonych muszę jutro stanąć przed sądem. Była zarządzona godzina policyjna czy milicyjna, jak oni to nazywali, więc od godziny, zdaje się, szóstej nie można się było poruszać. Jakże ja mogę zobaczyć oskarżonych? On rozłożył ręce. Zapytałem go jeszcze 'proszę pana, ale czy ja muszę?', on skinął głową i wyszedł. (...) Dodam jeszcze, że oficer UB powiedział, że mogę czytać akta od godziny ósmej do godziny szóstej po południu - a on przyszedł po godzinie szóstej, kiedy ja nie mogłem wyjść z domu, by nie być aresztowanym. A nazajutrz po ósmej zaczynał się proces, a zatem niemożliwością było przejrzanie akt. Nawet gdyby siedzieć tam dwa dni, nie można by zdążyć przejrzeć tych akt. To był stos akt. Dziwiłem się w jakim tempie oni potrafili to zrobić. Może dwadzieścia tomów. Cały stół sędziowski zarzucony był aktami. Oskarżeni byli stłoczeni w takim jakby obramowaniu z drzewa, podobnym do kojca. Jeden koło drugiego siedział albo stał. Porozmawiać z nikim nie było możliwości, by cokolwiek doradzić klientowi, bo w dodatku któryś z funkcjonariuszy mógł usłyszeć."8

Atmosferę panującą na procesie dobrze ilustrują inne słowa relacji mec. Grzywaczewskiego w rozmowie z Kąkolewskim: "Cała sala była wypełniona funkcjonariuszami UB. Tam nikogo nie wpuszczano. Nikt z rodzin nie mógł zobaczyć przed śmiercią swoich bliskich, niewinnie oskarżonych. Sąd otoczony był wojskiem i karabinami maszynowymi. Był karabin maszynowy, np. na rogu Wesołej i Ładnej. Wpuszczono nas, obrońców, pięciu bodajże. Na tyłu oskarżonych"9.

"Prokuratorzy częstokroć krzyczeli na adwokatów, traktowali ich niemal jak oskarżonych. Kiedy mecenas Grzywaczewski próbował ustalić pytaniami skąd padały strzały i czy strzelało wojsko, prokurator Golczewski stwierdził, że kala mundur polskiego żołnierza. Sąd zakazał stawiania podobnych pytań"10.

Inny fakt jakże wymownie dowodzący świadomego tuszowania przez sąd prawdy o prawdziwych inspiratorach i sprawcach mordu. Otóż, jak relacjonował mec. Grzywaczewski: "Zadałem pytanie świadkowi Ewie Szuchman 'czy wojsko strzelało?'. Szuchman potwierdziła. Wtedy sąd jej przerwał. Ilekroć padało słowo 'wojsko' czy 'milicja', sąd przerywał zeznania"11.

"Grzywaczewski opisywał również o tym, jak któryś z oskarżonych próbował wycofać swoje zeznania. Stwierdził, że bito go tak mocno, dosłownie do nieprzytomności, że gotów był przyznać się do wszystkiego. I znów szczegół jakże charakterystyczny dla metod przygotowywania owego procesu pokazowego - ten sam świadek, który wskazał wspomnianego oskarżonego jako tego, który bił Żyda był jednocześnie tym samym

funkcjonariuszem UB, który torturował tego oskarżonego w areszcie"12.

W takiej atmosferze, wśród wrogiego audytorium nader trudno było zdobyć się na jakąś próbę obrony, na zaprzeczanie brutalnie dyktowanym zarzutom. Krzysztof Kąkolewski konstatował: "W czasie procesu świadków i oskarżonych przerażał nie tylko prokurator i sąd - ostentacyjnie surowi, brutalni i wywierający publicznie nacisk na obrońców - ale również zgromadzona na sali elita funkcjonariuszy z Urzędu Bezpieczeństwa, przy jednoczesnej nieobecności rodzin oskarżonych. Szczególnie te dwa ostatnie elementy procesu budziły zgrozę i mówiły o tym, że proces nie tyle jest reżyserowany, bo to za mało, ale że wszystko jest ukartowane i przesądzone, a być może było przygotowywane równoległe, na równi z pogromem, na długo przed nim"13.

W kilka dziesięcioleci po zbrodni kieleckiej w toku śledztwa potwierdzono tak szybko, bo już w 1946 roku, zaakcentowane w raporcie biskupa kieleckiego dowody jaskrawego złamania reguł sprawiedliwości w czasie komunistycznego procesu pokazowego z 1946 roku. W sprawozdaniu Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu z 16 października 1997 roku stwierdzono między innymi: "Z naruszeniem kodeksowych gwarancji procesowych, bez wyjaśnienia wszystkich okoliczności zbrodni kieleckiej zapadł w dniu 11 lipca 1946 r. pierwszy wyrok w stosunku do uczestników wydarzeń z 4 lipca. Z 12 oskarżonych Najwyższy Sąd Wojskowy skazał 9 osób na kary śmierci. (...) Spośród zatrzymanych pracownicy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i Naczelnej Prokuratury Wojskowej wraz z szefem Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Kielcach wyselekcjonowali - według nie ustalonych w niniejszym śledztwie kryteriów - 12 osób"14.

Tak więc wyglądało szukanie winnych według metod sprawiedliwości komunistycznej - wyselekcjonowanie według nieustalonych kryteriów 12 rzekomych winowajców i ukaranie ich "z naruszeniem kodeksowych gwarancji procesowych, bez wyjaśnienia wszystkich okoliczności zbrodni".

Kolejna, piąta część artykułu na temat fałszowania śledztwa w sprawie zająć w Kielcach i procesu, ukaże się za tydzień, w piątek.

Przypisy:

1 Zob. świetne wspomnienia A. Bliss-Lane "Widziałem Polskę zdradzoną", wyd. podziemne "Krań", Warszawa 1984

2 Cyt. za J. Śledzianowski: "Pytania nad pogromem kieleckim", Kielce 1999, s.120, 121,122, 123

3 Tamże, s. 123

4 Por. np. J. Śledzianowski, op. cit., s. 175-176

5 R. Buczek, op. cit., s. 203, 205-206

6 Tamże, s. 198-199

7 Wg P. Wrońskiego "Twój ojciec nie zabił", "Gazeta Wyborcza" z 24 marca 1992 r.

8 K. Kąkolewski "Umarły cmentarz", Warszawa 1996, s. 171, 172.

9 Tamże, s. 171

10 Por. K. Kąkolewski, op. cit., s. 172, P. Wroński, op. cit.

11 Wg K. Kąkolewski, op. cit., s. 174

12 Wg. K. Kąkolewski: op. cit., s. 173

13 Op. cit., s. 175

14 Cyt. za J. Śledzianowski, op. cit., s. 124

Część V

Ważnym, wymagającym szerszego naświetlenia elementem historii zajść w Kielcach jest wielokrotnie zafałszowywana przez komunistyczną władzę i propagandę sprawa stosunku Kościoła katolickiego w Polsce do wydarzeń kieleckich.

Już 7 lipca 1946 roku, trzy dni po zajściach, miejscowe władze PPR i PPS "wysmażyły" dość szczególną rezolucję dążącą do obciążenia Kościoła katolickiego rzekomą współodpowiedzialnością za ukształtowanie nastrojów pogromowych. W rezolucji Komitetów Wojewódzkich PPR i PPS stwierdzano m.in.: "Działalność kleru katolickiego w województwie kieleckim, coraz bardziej ofensywnego i napastliwego w stosunku do obozu rządowego i samego rządu, sprzyjała nasileniu nastrojów pogromowych" (cyt. za: "Antyżydowskie wydarzenia kieleckie 4 lipca 1946 roku. Dokumenty i materiały", oprac. S. Meducki, Kielce 1994, t. II, s. 119).

W rezolucji KW PPR i PPS jako jeden z głównych postulatów wysunięto żądanie: "Pociągnięcia do odpowiedzialności tych osób z kleru katolickiego w Kielcach, które przez swe zaczepne wystąpienia antyrządowe z ambon przygotowały nastroje pogromu i zbrodni" (tamże, s. 119).

Na kwestię atakowania duchowieństwa katolickiego w związku ze zbrodnią kielecką wyraźnie naciskano w kręgach Centralnego Komitetu Żydów Polskich (CKŻP). Przedstawiciel PPR w Prezydium tego Komitetu Paweł Żelicki akcentował, że "w kampanii za granicą przeciw ośrodkom, które inspirowały i przeprowadzały akcję, należy wskazać na udział wśród kieleckich napastników wojskowych w mundurach z napisem Poland oraz na zachowanie się kleru" (podkr. J.R.N.; cyt. za: K. Kersten "Polacy, Żydzi, komunizm. Anatomia półprawd 1939-68", Warszawa 1992, s. 104).

Oszczercze wystąpienia antykatolickie za granicą - zgodnie z życzeniami przedstawiciela Centralnego Komitetu Żydów Polskich - okazały się bardzo skuteczne. Dotąd w części fanatycznych środowisk żydowskich (m.in. w książce Alana M. Dershovitza "Chutzpah", który jest adwokatem rabina A. Weissa) upowszechnia się grubiańskie oszczerstwa przeciwko Kościołowi katolickiemu w Polsce w związku ze zbrodnią kielecką.

Wojsko nie dopuściło księży

Echa antykościelnej propagandy komunistycznej przez całe dziesięciolecia odzywały się w różnych reżimowych enuncjacjach propagandowych. Na przykład jeszcze w 1987 roku rzecznik prasowy rządu PRL Jerzy Urban posunął się do insynuacji, zarzucającej Kościołowi katolickiemu, że nie zdecydował się na potępienie pogromu poza ogólnikową odezwą wzywającą do zachowania spokoju w mieście. Enuncjacja Urbana wywołała protestacyjne oświadczenie kieleckiej kurii diecezjalnej ("Tygodnik Powszechny" z 4 października 1987 r.), ponownie skontrolowane przez Urbana ("Tygodnik Powszechny" z 8 listopada 1987 r.).

Manipulacje propagandy komunistycznej w Polsce i niektórych środowisk zagranicznych na temat rzekomej bierności Kościoła wobec zajść lub nawet wspierania ich przez kształtowanie nastrojów propagandowych były wręcz jaskrawym zafałszowaniem faktycznej sytuacji z lipca 1946 roku. Z licznych udokumentowanych relacji wynika, że dwaj duchowni, w tym ks. kanonik Roman Zelek, udali się na miejsce zajść już około godz. 11.00, a więc w trakcie pierwszej fazy ataku na dom żydowski. U wejścia na ulicę Planty napotkali jednak kordon wojskowo-milicyjny i posterunek karabinu maszynowego. Wojskowi pełniący straż nie dopuścili jednak księży na miejsce zajść (zob. szerzej Z. Wrona, Kościół wobec pogromu Żydów w Kielcach, [w:] "Pamiętnik Świętokrzyski - Studia z dziejów kultury

chrześcijańskiej", Kielce 1991, s. 285-286; J. Śledzianowski "Pytania nad pogromem kieleckim", Kielce 1999, s. 152-154). O tym, że wojsko nie dopuściło księdza Zelka na miejsce zająć, pisano w polemizującym z tekstem Urbana oświadczeniu kieleckiej kurii diecezjalnej ("Tygodnik Powszechny" z 4 października 1987 roku).

Znamienne, że fałszujący historię rzecznik prasowy rządu Wojciecha Jaruzelskiego Jerzy Urban, próbując maksymalnie pomniejszyć, a nawet zamazać rolę duchowieństwa kieleckiego w próbie spacyfikowania zająć, pisał w swej "Odpowiedzi na oświadczenie Kurii kieleckiej": "Dziś więc Kuria kielecka powołuje się na słowa prymasa o tym, że jeden ksiądz biegł uspokajając mordującą tłuszcę, ale nie puszczono go przez kordony wojska. Jak z tym było, nikt dziś nie dociecze. Wątpliwe to jednak świadectwo na rzecz postawy Kurii w 1946 r. (por. List rzecznika prasowego rządu, "Tygodnik Powszechny", 8 listopada 1987 r.).

Wbrew twierdzeniom Urbana, że "nikt dziś nie dociecze" w tej sprawie, obecnie powszechnie uznaje się, że wojsko uniemożliwiło próbę pacyfikacji nastrojów przez księży. Przyznaje to nawet tak stronnicza w swych próbach podważenia twierdzeń o Kielcach w 1946 roku jako prowokacji sowieckiej Krystyna Kersten.

W swej książce napisała, że: "**Uniemożliwiona została interwencja duchowieństwa (...). Przedstawiciele kurii, księży Roman Zelek, Mośliński zatrzymani zostali przez wojsko**" (K. Kersten "Polacy, Żydzi, komunizm. Anatomia półprawd 1939-68", Warszawa 1992, s. 128).

O sprawie zatrzymania księży przez wojsko i niedopuszczeniu ich na miejsce zająć szeroko piszą w oparciu o udokumentowane fakty tacy autorzy, jak: ksiądz Jan Śledzianowski, Krzysztof Kąkolewski, historyk Roman Buczek. Mówił o tym również inny historyk - ks. prof. Daniel Olszewski, członek Komisji Kościelnej, przygotowującej obchody 50. rocznicy zająć antyżydowskich w Kielcach (por. wywiad J. Pisiewicz z ks. prof. D. Olszewskim: "Kościół wobec zająć antyżydowskich w Kielcach", "Słowo - Dziennik katolicki", 28 czerwca 1996 r.).

Pisał o tym w ważnej, a przemilczanej na ogół przez badaczy krajowych pracy zbiorowej polonijnych autorów "Kielce - July 4, 1946. Background, Context and Events" (Toronto and Chicago 1996, s. 98) słynny naukowiec polonijny prof. Iwo C. Pogonowski.

Warto przytoczyć w związku z całą sprawą uwagi Krzysztofa Kąkolewskiego, który uważa, że księży nie mieli szans na wywarcie szerszego wpływu na postawę oficerów dowodzących kordonem osaczającym dom żydowski na Plantach.

Według Kąkolewskiego: "(...) Siły bezpieczeństwa: KBW, UB nie tylko z natury swojej pozbawione były duszpasterzy, ale przeznaczone m.in. do walki z Kościołem. Kadra oficerska była wychowywana w antyreligijnym i ateistycznym duchu. W jakiej mierze księży Zelek i Danilewicz zdawali sobie z tego sprawę - teraz trudno odtworzyć. Raczej nadawali się na jeszcze dwie ofiary rozszalałych żołdaków, a ich pojawienie się w najlepszym wypadku mogło wywołać śmiech i szyderstwa.

Nad księżmi zawisło też inne niebezpieczeństwo. Gdyby oficerowie, którzy ich powstrzymali i kazali zawrócić, mieli instrukcję, że pogrom będzie przypisany duchowieństwu katolickiemu, to księży by dopuszczono na teren zbrodni i tam aresztowano jako podżegaczy. Ponieważ jednak postanowiono oskarżyć Kościół w sposób ogólnikowy i obarczyć go odpowiedzialnością tylko za domniemane nauczanie w duchu antysemitki, co miało doprowadzić do pogromu, to nie wyłapywano i nie aresztowano księży - co zresztą i tak

byłoby możliwe potem w ich parafiach. (...)

Odwrot księży być może ocalił im życie. Być może ich odarte z sutann ciała - jak obdarto Żydów z ich odzienia - zmieszane byłyby z żydowskimi ofiarami" (K. Kąkolewski "Umarty cmentarz", Warszawa 1996, s. 113-114, 115).

Przytoczyłem tu szerzej informacje o zablokowanej przez oficerów wojska próbie przerwania zajęć przez księży z kurii kieleckiej, bo fakty te ciągle są przemilczane lub negowane w wielu propagandowych opracowaniach na temat zajęć kieleckich.

W niektórych antypolskich publikacjach żydowskich na Zachodzie wręcz głosi się, że ze strony kurii biskupiej w ogóle odmówiono zareagowania na prośbę o pomoc ze strony miejscowego przywódcy żydowskiego (por. np. tekst Sheldona Kirshnera "Circumstances surrounding 1946 pogrom remain a mystery", "The Canadian Jewish News", 4 lipca 1946 r.). Prostowała te kłamstwa znana obrończyni polskości Hanna Sokolska, wówczas przewodnicząca Oddziału Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Toronto, w tekście "The Bishop's role in Kielce pogrom", "The Canadian Jewish News", 5 września 1996 r.).

Odezwa kościelna w sprawie zajęć

Wbrew twierdzeniom Urbana, że Kościół nie zdecydował się na potępienie zajęć poza ogólnikową odezwą z 11 lipca 1946 roku, pomimo nieobecności ordynariusza diecezji, księdza biskupa Cz. Kaczmarka, Kuria wydała odezwę do wszystkich proboszczów w diecezji kieleckiej, jednoznacznie piętnującą zbrodnię. Podaję niżej jej pełną treść, obalając w ten sposób kłamstwo Urbana o rzekomej ogólnikowości tej odezwy.

Odezwa

Do wszystkich Przewielebnych Księży Proboszczów DIECEZJI KIELECKIEJ

Kuria Diecezjalna poleca odczytać w najbliższą niedzielę z ambony na wszystkich Mszach św., bez żadnych komentarzy, następującą odezwę:

Podstawową zasadą katolicyzmu, obok miłości Boga, jest miłość bliźniego bez względu na pochodzenie, narodowość i wyznanie. Do najwyższych wartości doczesnych bliźniego należy jego życie i zdrowie, a poszanowanie tego życia i zdrowia jest naczelnym nakazem prawa miłości bliźniego.

Wypadki, które rozegrały się w Kielcach dnia 4 lipca br. wbrew tym świętym i niewzruszonym zasadom, zgasiły życie wielu osób, a jeszcze większą liczbę przyprawiły o ciężkie rany.

Podając to z ubolewaniem do wiadomości, musimy sobie jasno zdać sprawę z tego, iż fakt rozmyślnego zabójstwa jest zbrodnią, wołającą o pomstę do Boga i jako taki godzien całkowitego i bezwzględного potępienia. Fakt ten jest tym karygodniejszy, gdy się dzieje na oczach młodzieży i nieletnich dzieci. Potępiając powyższe czyny, w imię poszanowania prawa Bożego, nakazu własnego sumienia, wspaniałych tradycji polskich oraz honoru Polaka-katolika, Kuria Diecezjalna Kielecka wzywa katolickie społeczeństwo diecezji kieleckiej do zachowania spokoju, opanowania się oraz zrozumienia powagi chwili w interesie własnym i Narodu. Niechaj żaden katolik nie da się zwodzić nikomu, kto by go chciał pchnąć do podobnych czynów.

Kielce, dnia 11 lipca 1946 roku

Ks. dr Józef Rybczyk
Notariusz
Ks. mgr Piotr Dudziec
w zast. Wikariusz Generalny

(cyt. za J. Śledzianowski "Pytania nad pogromem kieleckim", Kielce 1999, s. 165).

Sprawa wydarzeń kieleckich, a zwłaszcza ich prawdziwych inspiratorów, była ogromnie trudna do rozpoznania bezpośrednio po wydarzeniach. Stąd tym większe znaczenie miała decyzja w tej sprawie podjęta przez kieleckiego biskupa ordynariusza Czesława Kaczmarka. 24 lipca 1946 roku, po powrocie z urlopu zdrowotnego biskup Kaczmarek powołał specjalną komisję dla zbadania przyczyn zająć w Kielcach. Po bardzo gruntownych analizach przygotowała ona potajemnie raport, dostarczony ambasadorowi USA w Warszawie, wskazujący na odpowiedzialność ówczesnej władzy partyjno-policyjnej. Właśnie trafienie przez UB na ślady tego raportu było w niemałej mierze tym, co spowodowało późniejsze komunistyczne represje wobec ks. biskupa Kaczmarka i jego sfabrykowany proces w 1953 roku (por. ks. H. Wojtunik "Ks. biskup Czesław Kaczmarek a sprawa pogromu kieleckiego", Toronto, polonijny "Głos Polski" z 6 grudnia 1996 r.).

Oświadczenie Prymasa Hlonda

Oficjalne stanowisko Kościoła katolickiego w Polsce najszerszej sformułował ówczesny Prymas Polski kardynał August Hlond w wywiadzie udzielonym amerykańskiemu dziennikarzom 11 lipca 1946 r. Wcześniej kardynał Hlond rozmawiał na temat zbrodni kieleckiej z ambasadorem USA w Polsce Arthurem Bliss-Lane. Ambasador wspominał w swej książce: "Kiedy 6 lipca odwiedziłem kardynała Hlonda, Prymasa Polski, był on głęboko poruszony kielecką masakrą". (A. Bliss-Lane "Widziałem Polskę zdradzoną", wydawnictwo podziemne "Krağ", Warszawa 1984, s. 133). W czasie wywiadu udzielonego dziennikarzom amerykańskim 11 lipca 1946 roku Prymas Polski złożył wobec nich następujące oświadczenie.

Oświadczenie

- 1) Kościół katolicki zawsze i wszędzie potępia wszelkie mordy. Potępia je też w Polsce bez względu na to, przez kogo są popełniane i bez względu na to, czy popełniane są na Polakach czy na Żydach, w Kielcach lub innych zakątkach Rzeczypospolitej.
- 2) Przebieg nieszczęsnych i ubolewania godnych wypadków kieleckich wykazuje, że nie można ich przypisać rasizmowi. Wyrosły one na podłożu całkiem odmiennym, bolesnym a tragicznym. Wypadki są potwornym nieszczęściem, które mnie napełnia smutkiem i żalem.
- 3) Duchowieństwo katolickie w Kielcach spełniło swoje zadania. Gdy wieść o wypadkach dotarła do kleru, ks. Roman Zelek, proboszcz parafii katedralnej, pobiegł na miejsce, ale u wejścia w ulicę Planty został przez wojsko zawrócony. Gdy kordony wojskowe zostały zwinięte, pięciu księży udało się na miejsce wypadków, gdzie zauważyli, że tłumów już nie było; były tylko mniejsze grupy, którym przedstawiciel Kurii biskupiej radził, by wróciły do domu.

Następnego dnia (5 lipca) przedstawiciel Kurii biskupiej w porozumieniu z władzami i przedstawicielami miasta przygotował odezwę uspokajającą, którą Wojewoda zaakceptował. Tej odezwy atoli władze nie opublikowały.

Dnia 6 lipca Kuria biskupia wydała od siebie odezwę, która następnego dnia (niedziela 7 lipca) została odczytana z ambon we wszystkich katolickich kościołach miasta. Kopię tej odezwy załącza się. - Jeżeli mimo gwałtownego podniecenia w Kielcach w ostatnim tygodniu panował tam ład i spokój, przypisać to należy przede wszystkim celowemu i łagodzącemu wpływowi duchowieństwa.

4) W czasie eksterminacyjnej okupacji niemieckiej Polacy, mimo że sami byli tępieni, wspierali, ukrywali i ratowali Żydów z narażeniem własnego życia. Niejeden Żyd w Polsce zawdzięcza swe życie Polakom i polskim księżom. Że ten dobry stosunek się psuje, za to w wielkiej mierze ponoszą odpowiedzialność Żydzi, stojący w Polsce na przodujących stanowiskach w życiu państwowym, a dążący do narzucenia form ustrojowych, których ogromna większość narodu nie chce. Jest to gra szkodliwa, bo powstają stąd niebezpieczne napięcia. W fatalnych starciach orężnych na bojowym froncie politycznym w Polsce giną niestety niektórzy Żydzi, ale ginie nierównie więcej Polaków.

5) Moje osobiste stanowisko do Żydów jest znane choćby z moich przedwojennych wypowiedzi. W czasie wygnania zaś we Francji w latach 1940-1944 ratowałem niejednego Żyda polskiego, niemieckiego, francuskiego przed wywiezieniem do obozów śmierci. Ułatwiałem im wyjazd do Ameryki, umieszczałem ich w bezpiecznych schronieniach, starałem się dla nich o dokumenty, dzięki którym ocaleli. Pragnę serdecznie, by sprawa żydowska w świecie powojennym znalazła wreszcie swe właściwe załatwienie.

(wg "Antyżydowskie wydarzenia kieleckie 4 lipca 1946 roku. Dokumenty i materiały", oprac. S. Meducki, Kielce 1994, t. II, s. 117-118).

Spory o rolę Żydów w stalinizacji Polski

Oświadczenie Prymasa Hłonda sprowokowało tym większą nagonkę na Kościół katolicki, zarówno w polskich kręgach komunistycznych, jak i za granicą. Szczególną irytację przeciwników Kościoła i ataki na rzekomy "antysemityzm" wywołał fragment oświadczenia o roli Żydów w Polsce "na przodujących stanowiskach w życiu państwowym, a dążących do narzucenia form ustrojowych, których ogromna większość narodu nie chce". Prymas Polski w tej części oświadczenia wspominał o mniej znanych za granicą, za to powszechnie dostrzeganych w Polsce faktach.

Przypomnijmy, że cytowany już wyżej ambasador amerykański Arthur Bliss-Lane pisał o "rosnącym antysemityzmie, **wywołanym, co przyznawali nawet żydowscy informatorzy, ogromną niepopularnością Żydów zajmujących kluczowe stanowiska w rządzie**" (A. Bliss-Lane: op. cit., s. 134).

Z kolei nie kto inny jak emigrantka z 1968 r., a później znana tropicielka rzekomego "antysemityzmu" w Polsce Alina Grabowska przyznawała na łamach paryskiej "Kultury" z grudnia 1969 roku: "**W pierwszych latach powojennych (a nawet i później) znakomitą, niestety, większość pracowników UB stanowili Żydzi**".

Wybielaczom roli Żydów w UB i generalnie w stalinowskim aparacie władzy warto przypomnieć jednobrzmiące świadectwa na ten temat osób z jakże różnych środowisk intelektualnych od Marii Dąbrowskiej i ojca Józefa M. Bocheńskiego po Stefana Kisielewskiego i Czesława Miłosza.

Najwybitniejsza chyba pisarka tego okresu Maria Dąbrowska w zapiskach w swym dzienniku pisała pod datą 17 czerwca 1947 r.: "**UB, sądownictwo są całkowicie w ręku Żydów. W**

ciągu tych przeszło dwu lat ani jeden Żyd nie miał procesu politycznego. Żydzi osądzają i na kaźń wydają Polaków".

Niemal dziewięć lat później - 27 maja 1956 r. ta sama Dąbrowska pisała: "Ostatnimi tygodniami byłam w Nieborowie w towarzystwie samych Żydów oprócz Anny i Bogusia. Częste ich rozmowy o wzrastaniu antysemityzmu. **Czemu dziś sami są częściowo winni - bo jak można było dać sobą obsadzić wszystkie 'kluczowe pozycje' życia Polski: prokuratury, wydawnictwa, ministerstwa, władze partii, redakcje, film, radio itp."**

Bliźniaczo wręcz podobne w swej wymowie wydają się zapiski w "Dziennikach" Stefana Kisielewskiego. Pod datą 18 października 1968 r. Kisielewski pisze: **"Dwadzieścia lat temu powiedziałem Ważykowi, że to, co robią Żydzi, zemści się na nich srodze. Wprowadzili do Polski komunizm w okresie stalinowskim, kiedy mało kto chciał się tego podjąć z 'gojów' (...)"**. Niewiele później, 4 listopada 1968 r. Kisielewski zapisał: **"Po wojnie grupa przybyłych z Rosji Żydów-komunistów (Żydzi zawsze kochali komunizm) otrzymała pełnię władzy w UB, sądownictwie, wojsku, dlatego, że komunistów nie-Żydów prawie tu nie było, a jeśli byli, to Rosja się ich bała. Ci Żydzi robili terror, jak im Stalin kazał (...)"**.

Z kolei słynny katolicki intelektualista na emigracji ojciec Józef M. Bocheński akcentował na łamach paryskiej "Kultury" (nr 7-8 z 1986 r.): **"Jak wiadomo, władza leżała w dużej mierze w ich [Żydów - J.R.N.] rękach po zajęciu Polski przez wojska sowieckie - w szczególności pewni Żydzi kierowali policją bezpieczeństwa. Otóż ta władza i ta policja jest odpowiedzialna za mord bardzo wielu spośród najlepszych Polaków. Polacy mają, moim zdaniem, znacznie większe prawo mówić o pogromie Polaków przez Żydów niż Żydzi o pogromach polskich"** [podkr. J.R.N.].

I wreszcie świadectwo Czesława Miłosza, tym wymowniejsze, że chodzi o intelektualistę znanego ze skrajnie prożydowskiej postawy. Właśnie Miłosz stwierdził w prawie nieznanym w Polsce (poza moimi tekstami) wywiadzie dla wydawanego w USA żydowskiego czasopisma "Tikkun" (nr 2 z 1987 roku), mówiąc o żydowskich komunistach: **"Oni zajęli wszystkie czołowe pozycje w Polsce i również w bardzo okrutnej policji bezpieczeństwa, ponieważ oni byli po prostu bardziej godni zaufania niż miejscowa ludność."** W tym stwierdzeniu Miłosz nieco przesadził, bo jednak Żydzi nie zajęli wszystkich co do jednego stanowisk na szczytach władzy i w bezpiecze. Były tam jednak również nie-żydowskie wyjątki, jak choćby Bierut i Radkiewicz, choć grające bardziej rolę figurantów. Generalnie jednak Miłosz celnie określił wyjątkową, dominującą rolę komunistów żydowskiego pochodzenia w stalinizacji Polski (por. szerzej tomiki J.R. Nowaka w w serii "Biblioteka książek niepoprawnych politycznie": "Kogo muszą przeprosić Żydzi", "Zbrodnie UB", Warszawa 2001).

Cytowany już we wcześniejszej części tego cyklu wybitny polski historyk z Kanady Roman Buczek pisał w książce "Na przełomie dziejów": "Prasa komunistyczna domagała się przede wszystkim od episkopatu zbiorowego potępienia antysemityzmu w Polsce. Żądanie to było jednak niewykonalne ze względów zasadniczych. Jak już mówiliśmy na innym miejscu, ogromna większość Żydów była gorliwymi propagatorami komunizmu w Polsce, którego społeczeństwo nie chciało. Żydzi obsadzali aparat bezpieczeństwa i milicji, dokonywali aresztowań, pastwili się nad aresztowanymi i zabijali ich. Nic więc dziwnego, że spotykali się z niechęcią społeczeństwa. W tych warunkach było bezczelnością ze strony władz komunistycznych żądanie od episkopatu uroczystego ogłoszenia, że ta niechęć społeczeństwa

jest nieuzasadniona, a winni są Polacy, którzy się na Żydów oburzają. Wyglądało to na żądanie oficjalnej akceptacji przez Kościół całego systemu terroru, który komuniści w Polsce wprowadzili" (s. 209).

Opór robotników przeciw propagandowej nagonce

Na tle prawdziwych, jakże złożonych realiów ówczesnych stosunków polsko-żydowskich, tym bardziej kłamliwie brzmiały wszelkie próby zrzucania wyłącznie na Polaków winy za wzajemne napięcia. A to właśnie próbowano szczególnie gorliwie robić w komunistycznej propagandzie opanowanej w dominującej większości przez żydowskich politruków. Nie tylko Episkopat, ale i rzesze prostych polskich robotników potrafiły się wówczas przeciwstawić nachalnym tropicielom rzekomego powszechnego "polskiego antysemityzmu" i odpowiednim z góry, bez sądu, propagandowym wyrokom na temat rzekomych winowajców zbrodni jako "pogrobowców sanacji", WiN-owców czy andersowców. Historyk Łukasz Kamiński pisał w książce "Strajki robotnicze w Polsce w latach 1945-1948" (Wrocław 1998), iż: "10 lipca (...) w szeregu łódzkich fabryk zorganizowano wiece dla potępienia sprawców pogromu kieleckiego. Uchwalone rezolucje podpisywano niechętnie. Pomimo tego następnego dnia zostały one opublikowane przez prasę. Wywołało to strajki protestacyjne (...). Początkowo żądano sprostowania nieprawdziwych informacji, z czasem pojawił się postulat zwolnienia skazanych w procesie kieleckim (...). Tego typu reakcje robotników nie były w skali kraju czymś wyjątkowym. Załogi wielu fabryk odmówiły uchwalenia rezolucji potępiających sprawców pogromu (...)".

Przypomnijmy tu, jak brzmiała spreparowana odgórnie i przedstawiona w partyjnym "Głosie Robotniczym" rezolucja, która wywołała strajk robotników Łódzkiej Fabryki Nici, oburzonych przypisywaniem im autorstwa tak zakłamanego tekstu:

"My, robotnicy zdaliśmy egzamin dojrzałości politycznej w dniu Referendum Ludowego. Nie ustąpimy ani na krok w walce o utrwalenie naszych zdobyczy, o które lata całe walczyliśmy tak za czasów Polski sanacyjnej, jak i podczas krwawej okupacji hitlerowskiej. Wszyscy zjednoczymy się w tej walce przeciwko zdrajcom narodu spod znaku 'trzy razy nein', których dziełem jest pogrom w Kielcach - hańbą okrywający dobre imię Polski. Pamiętamy czasy przedwrześniowe, kiedy to sanacja starała się utrzymać przy władzy przy pomocy antysemityzmu, przy pomocy judzenia jednych Polaków przeciwko drugim. Te czasy już nie wrócą - nie dopuścimy reakcji do władzy! Wypadki w Kielcach - to zamach na spokój wewnętrzny Polski. Domagamy się od naszego Rządu wprowadzenia publicznych sądów doraźnych, które skazywać będą wrogów ludu spod znaku NSZ, WiN, spod znaku Andersa. W nowej Polsce Ludowej zniszczymy wroga, odbudujemy nasz kraj, w którym zapanuje spokój i dobrobyt." (por. "Robotnicy polscy piętnują morderców czarnosecinnych z Kielc", "Głos Robotniczy" z 10 lipca 1946 r.).

Czyż ktoś o zdrowych zmysłach może się dziwić, że robotnicy łódzcy nie chcieli zaakceptować publikowania w ich imieniu tak tendencyjnej stalinowskiej rezolucji, porównującej sanację z czasami hitlerowskimi, i żądającej sądów doraźnych dla ludzi z WiN-u, NSZ-u, armii Andersa?

Robotnicy Łódzkiej Fabryki Nici i innych łódzkich zakładów uznali za konieczne zaprotestowanie strajkami przeciwko publikowaniu w ich imieniu, bez ich zgody tak skrajnej propagandowej rezolucji, nie zgadzając się na narzucanie im z góry, kogo mają piętnować jako rzekomych sprawców kieleckiego mordy. Jak pisał historyk Stefan Ciesielski: "U

niektórych wątpliwości zapewne budziło ferowanie wyroków przed rozpoczęciem procesu sądowego i szczegółowym rozpoznaniem sprawy" (S. Ciesielski "Nastroje strajkowe wśród robotników w Polsce w latach 1945-1946", "Dzieje Najnowsze" 1989, nr 1, s. 117).

Robotnicy protestowali również przeciwko błyskawicznemu procesowi o zbrodnię kielecką, podejrzewając, jakże słusznie, sądowe matactwa w tej sprawie. Prawdziwą groteską na tym tle wydaje się rozumowanie znanego wężyciela "polskiego antysemityzmu" Jana Tomasza Grossa. W swej książce "Sąsiedzi" (s. 100) uznał on strajki robotników przeciwko narzucanej im rezolucji w sprawie zbrodni kieleckiej jako wyraz robotniczego "antysemityzmu". I konkludował, że strajki te jakoby "dają się doskonale wytłumaczyć jako protest przeciwko temu, że w powojennej Polsce nie można się porachować z mordercami bezbronnymi chrześcijańskimi dziećmi". Tak Gross konsekwentnie wmawiał robotnikom maksymalną ciemnotę i fanatyzm. Jeśli Grossowi odpowiadała tak złowieszcza stalinowska rezolucja, to sprawa jego i jego mentalności. Tylko pełen uprzedzeń fanatyk mógł się dziwić, że tak ohydna rezolucja, porównująca sanację z czasami hitlerowskimi i żądająca sądów doraźnych dla ludzi z WIN-u i NSZ-u, mogła i musiała spotkać się ze stanowczym sprzeciwem polskich robotników (por. szerzej J.R. Nowak "100 kłamstw J.T. Grossa o żydowskich sąsiadach i Jedwabnem". Warszawa 2001, s. 277-283, 298).

Cześć VI

Jak dziś z perspektywy lat widzi się przyczyny i skutki dojścia do zajęć antyżydowskich w Kielcach w lipcu 1946 roku? Zanim szerzej odpowiem na to pytanie, przypomnę kilka ważnych wcześniejszych ocen na ten temat. Już obok pierwszego odcinka mego cyklu, drukowanego w "Naszym Dzienniku" 4 lipca 2002 roku, zamieściliśmy powstałą 7 lipca 1946 r. deklarację grupy polskich intelektualistów ze Stanów Zjednoczonych w tej sprawie. Intelektualiści ci, po części osoby żydowskiego pochodzenia, już wtedy głosili, że "zbrodnia popełniona w Kielcach była rezultatem niesławnej prowokacji zaplanowanej przez tajną policję reżimu warszawskiego". W ich ocenie, prowokacja ta miała odwrócić uwagę od oszustw i nadużyć (w tym w oszukańczym referendum), popełnianych przez prosowiecki reżim w Polsce.

Polska do Sowietów, Żydzi do Palestyny

Sygnatariusze deklaracji wskazywali również na prowadzoną przez reżim warszawski świadomą politykę rugowania Żydów z Polski, prowadzoną "na polecenie i z rozkazów Moskwy". Polskich Żydów używa się - pisali sygnatariusze deklaracji - "jako sposobu zaambarasowania rządu brytyjskiego wobec prowadzonej przez niego polityki w Palestynie. Co więcej, stara się zantagonizować strony i stworzyć kryzys polityczny na Bliskim Wschodzie poprzez zaognienie konfliktu arabsko-żydowskiego". Z kolei ówczesny ambasador amerykański w Polsce Arthur Bliss-Lane oceniał zajścia kieleckie w swej wspomnieniowej książce "Widziałem Polskę zdradzoną": "Prawie wszystkie źródła zgodne są co do tego, że milicja ponosi w dużym stopniu odpowiedzialność za masakrę; nie tylko nie utrzymała porządku, ale użyła broni palnej i bagnatów, powodując śmierć wielu ofiar. Wprawdzie gwałtowność pogromu mogła sprawiać wrażenie niekontrolowanego wybuchu nienawiści rasowej, ale zarówno źródła rządowe, jak i opozycyjne przyznawały, że nie miał on charakteru spontanicznego, lecz był wynikiem starannie przygotowanego spisku, (...) źródła niezależne utrzymywały, że pogrom przygotowała strona rządowa w celu utrudnienia sytuacji opozycji, zwłaszcza w kołach żydowskich w Stanach. Rząd, według nich, liczył na to, że

relacje tych wszystkich przebywających właśnie w Polsce korespondentów angielskich i amerykańskich o pogromie, wydarzeniu o tyleż bardziej spektakularnym i tragicznym, usuną w cień sprawę sfałszowania referendum! (...) Dziennikarze zorientowali się szybko, jaką gratką są dla nich kieleckie morderstwa i prasa amerykańska zajęła się głównie istniejącym jeszcze w Polsce antysemityzmem, zamiast pisać o znaczeniu machlojek wyborczych"[1]. Walczące z prosowieckim reżimem antykomunistyczne Zrzeszenie WiN w swym podziemnym organie "Orzeł Biały" (nr 4-5, czerwiec-lipiec 1946 r.) skomentowało pogrom kielecki następująco:

"Wystąpienia antyżydowskie w Polsce są prowokowane przez NKWD i są one wykorzystywane przez Rosję zarówno na arenie międzynarodowej, jak i na odcinku wewnętrznym. (...) By nie dopuścić do porozumienia pomiędzy żydami a społeczeństwem polskim, a z drugiej strony, by dodać bodźca żydom do bardziej bojowego nastawienia do Polaków - NKWD stwarza prowokacje 'pogromów' żydowskich pod firmą Andersa, PSL, WiN itp."[2].

Świadectwa Żydów

Tezę o sowieckiej prowokacji w Kielcach i skorzystaniu na niej wyłącznie przez Sowietów i komunistów konsekwentnie głosił Michael Chęciński, oficer WP żydowskiego pochodzenia, który wyemigrował z Polski w 1968 roku. W swej wydanej w Nowym Jorku w 1982 roku książce "Poland. Communism - Nationalism - Antisemitism" (s. 31) Chęciński akcentował m.in., iż pewne jest to, że komunistyczni rządcy Polski rozmyślnie sabotowali wszystkie wysiłki zmierzające do wyjaśnienia tajemnicy i ukarania rzeczywistych sprawców. Według Chęcińskiego, władze komunistyczne wyraźnie "najwięcej zyskiwały" na pogromie, bo: "Udało im się zrzucić winę za pogrom na swoich politycznych przeciwników, zarówno w kraju, jak i na emigracji - i dokonać zdyskredytowania wszystkich sił opozycyjnych, wrogich ich prosowieckiemu reżimowi, pokazując się w dodatku Zachodowi jako obrońca resztek prześladowanych polskich Żydów... Co więcej - mogły one teraz i w przyszłości znaleźć usprawiedliwienie dla dalszych policyjnych represji pod pretekstem przykrócenia antysemitycznych sentymentów własnego społeczeństwa..."[3].

Wśród innych przyczyn pogromu kieleckiego Chęciński wymieniał to, iż masowa emigracja Żydów z Polski ułatwiła zadanie (dała broń do ręki) Związkowi Sowieckiemu przez przeładowanie obozów dla uchodźców w zachodnich strefach Niemiec i Austrii oraz wystawienie na próbę rządów brytyjskich w Palestynie, dokąd większa część tych Żydów chciała się udać[4].

Zaledwie dwa lata po publikacji książki Chęcińskiego w 1984 roku doszło do bardzo ciekawego wystąpienia w sprawie kieleckiej ze strony urodzonego w Polsce i przebywającego od pierwszych lat powojennych w Paryżu historyka żydowskiego Michała Borwicza. W referacie wygłoszonym na polsko-żydowskim sympozjum w Oxfordzie (17-21 grudnia 1984 roku) Borwicz zaakcentował, że w pogromie kieleckim "tajnym sowieckim prowokatorom chodziło o pozbawienie sympatii w krajach zachodnich, i to właśnie przed wyborami (w 1947 roku), które miały utwierdzić i zatwierdzić sowiecki podbój. (...) Prowokacja udała się i to chyba ponad spodziewania prowokatorów"[5].

Ustalenia Borwicza miały tym istotniejsze znaczenie, że był on powszechnie uważany za jednego z najwybitniejszych znawców stosunków polsko-żydowskich wśród historyków żydowskich, wyróżniającego się swym obiektywizmem w badaniach naukowych.

Cele komunistycznej propagandy

Tezę o wydarzeniach kieleckich 1946 roku jako komunistycznej prowokacji jednoznacznie akcentował również autor pierwszego szerszego polskiego omówienia tej sprawy, polonijny historyk Roman Buczek w wydanej w Toronto w 1983 roku książce "Na przełomie dziejów. Polskie Stronnictwo Ludowe w latach 1945-1947".

Poza tym, co już pisali dotychczasowi autorzy analiz prowokacji kieleckiej, Buczek wyeksponował dodatkowo kilka konkretnych celów działań władz komunistycznych wyraźnie przebijających z różnych tez propagandy komunistycznej bezpośrednio po zajściach kieleckich. Należały do nich m.in. twierdzenia, że:

"1) Nasłani agenci gen. Andersa organizują w Polsce pogromy Żydów;

2) Pewne ośrodki w Polsce nie chcą potępić wypadków kieleckich według wskazań PPR, a więc były związane z pozostałościami faszyzmu i z gen. Andersem;

3) Najważniejszym z tych ośrodków jest Polskie Stronnictwo Ludowe kierowane przez Stanisława Mikołajczyka i dlatego należy stronnictwo to rozwiązać, a jego przywódców odizolować od społeczeństwa [podkr. J.R.N.]. W wystąpieniu swoim z dnia 6 lipca 1946 r. Gomułka oskarżył nawet PSL o bezpośredni udział w pogromie w Kielcach;

4) Zabijający Żydów byli katolikami, ale Kościół katolicki w Polsce nie chciał potępić wypadków w sposób przyjęty przez komunistów, a zatem Kościół ten jest antysemitki i ponosi odpowiedzialność za wydarzenia w Kielcach. Dlatego też jest uzasadnione podjęcie z nim walki i skuteczne jego osłabienie. Już trzy dni po wypadkach zapowiedział to Osóbka-Morawski w swoim przemówieniu;

5) Domaganie się przez PSL likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i ograniczenia postępowania rządu tymczasowego jest szkodliwe, ponieważ w społeczeństwie polskim nadal wpływ mają elementy faszystowskie, wobec czego postępowanie władz jest uzasadnione"[6]. Znamienne jest, iż jak pisze Buczek, komuniści, dążąc do obciążania opozycyjnego PSL winą za zajścia w Kielcach skonfiskowali oświadczenie S. Mikołajczyka potępiającego te zajścia w imieniu PSL. Według Buczka[7]: "Nigdy nie doszło do powołania specjalnej komisji wyłonionej przez wszystkie ugrupowania polityczne, chociaż jej powołanie przyrzeczono na międzypartyjnej komisji porozumiewawczej stronnictw demokratycznych w Kielcach. Dopiero po kilku dniach zezwolono na potępienie ekscesów przez PSL, puszczając część skonfiskowanego oświadczenia Mikołajczyka". Cytowałem tu tak szeroko fragmenty ustaleń R. Buczka, bo w Polsce są one prawie zupełnie nieznanne. Ze zdumieniem zauważyłem pominięcie ocen tego wybitnego polonijnego historyka w dużo późniejszych publikacjach głównych autorów krajowych na temat wydarzeń kieleckich, od Kąkolewskiego i Śledzianowskiego po Kerstenową.

Kalkulacje Moskwy

Dość powszechnie również pomija się w polskich krajowych publikacjach inne analizy naukowców polonijnych na temat wydarzeń kieleckich, jakie ukazały się w latach 90. Za szczególnie przykre uważam powszechne pomijanie w pracach autorów krajowych analizy wydarzeń kieleckich 1946 roku, przedstawionej w znakomitej syntetycznej pracy dokumentalnej o stosunkach polsko-żydowskich "Jews in Poland" pióra jednego z najwybitniejszych uczonych polonijnych, profesora Iwo Cypriana Pogonowskiego (dwa wydania w Nowym Jorku, w 1993 i w 1998 roku, zob. wyd. z 1998 roku, s. 403-420). Zarówno w tej książce, jak i w obszernym opracowaniu profesor Pogonowski jednoznacznie akcentował, iż zajścia antyżydowskie w Kielcach 1946 roku były efektem starannie przygotowanej sowieckiej prowokacji[8].

Podobne konkluzje akcentował prof. Pogonowski również w swoim znakomitym

syntetycznym opracowaniu na temat zbrodni kieleckiej, wydanym w pracy zbiorowej autorów polonijnych na temat wydarzeń kieleckich w 1996 roku[9]. Także ta ważna książka polonijna jest jakże niesłusznie pomijana przez autorów krajowych. Warto więc przytoczyć z niej uwagi prof. I.C. Pogonowskiego na temat celów sowieckiej prowokacji kieleckiej 1946 roku:

"Tragiczne wydarzenia znane jako pogrom kielecki 1946 roku były wyraźnie częścią sowieckiej powojennej strategii globalnej. Sowietci bezlitośnie wykorzystywali Żydów dla sowieckich celów politycznych. Pogromy organizowane wewnątrz granic terenów obsadzonych przez Armię Czerwoną były prowokowane czy inicjowane w celu spowodowania emigracji Żydów, do której inaczej by nie doszło. Emigracja Żydów do Palestyny była Sowietom potrzebna dla obalenia tam brytyjskiego mandatu i skorzystania z arabsko-izraelskiego konfliktu dla stworzenia przeszkód w dostawach ropy dla Zachodu. W międzyczasie zaś mniejszość żydowską Sowietci wykorzystywali w początkowej fazie utrwalania reżimów komunistycznych w państwach satelickich (...). Pogrom w Kielcach był dostosowany do celów antypolskiej propagandy mającej przekonać zachodnie mocarstwa, że Polska powinna pozostać kolonią sowiecką zamiast odzyskać wolność, tak jak inne narody sprzymierzone. Stąd wykorzystano go do zmasowanej propagandy, której celem było przekonanie zachodnich polityków, że 'polski antysemityzm' może być przytłumiony tylko przez Sowietów, a pozwolenie na uzyskanie wolności przez Polskę mogłoby spowodować tylko dalsze fale antysemityzmu i mordowania Żydów"[10].

Przy okazji przypomnienia tych wciąż pomijanych w Polsce autorów polonijnych warto zastanowić się, co zrobić, aby w przyszłości w literaturze krajowej do różnych tematów historii powojennej dużo lepiej uwzględniano prace publikowane na emigracji, i było jak najmniej tak przykrych pominięć, jak w przypadku prac R. Buczka czy prof. I.C. Pogonowskiego.

W krajowej polskiej literaturze przedmiotu tezę o zajściach kieleckich 1946 roku jako sowieckiej prowokacji pierwszy bardzo szeroko rozwinął Krzysztof Kąkolowski w wielokrotnie cytowanej tu książce "Umarły cmentarz". Jego zdaniem, inicjatorzy tej prowokacji osiągnęli dzięki zbrodni kieleckiej pięć następujących celów:

"1) Spowodowanie masowego exodusu Żydów (...). Rosjanom chodziło o pozbycie się tzw. elementu kapitalistycznego: właścicieli sklepików, rzemieślników, członków żydowskich spółdzielni pracy, które rozwijały się i były niewygodne do spacyfikowania w związku z przygotowaniami do stalinizacji Polski. Przewidywano bowiem założenie obozów pracy dla tzw. elementów obcych klasowo (...);

2) Zasianie przerażenia wśród Żydów-komunistów na najwyższych i decydujących stanowiskach państwowych w ówczesnej marionetkowej RP. Takie osobistości jak Berman, Minc, Zambrowski, Różański, Fejgin (...), które znały rzeczywisty przebieg pogromu, musiały się liczyć z tym w swoich gabinetach i mieszkaniach, że w każdej chwili mogą tam wtargnąć na niebiesko ubrani robotnicy z gaz-rurkami i łomami, a nawet pistoletami i że mogą być wymordowani przez 'motłoch', z czego Rosjanie wyciągną nową korzyść, ponieważ obciążą ich winą za zbrodnie stalinowskie, sami pozostając czyści, a zarazem obciążą polski motłoch nowym żydobójstwem (...);

3) Zasianie wśród Żydów, którymi obsadzono kadry kierownicze w średnim aparacie UB, wojska i partii, przekonania, że w każdej chwili są zagrożeni śmiercią ze strony społeczeństwa polskiego, które chce ich wymordować. Przekonano ich, że andersowcy, księża, chłopci, rzemieślnicy, harcerze tylko czyhają na złagodzenie terroru w Polsce, by ich wyniszczyć. Nie tylko uważali ci Żydzi, że jedynym obrońcą przed rasizmem i pogromem jest partia komunistyczna, ale także czyniło to ich jeszcze bardziej posłusznymi i gorliwymi wykonawcami jej rozkazów;

4) Odwrócenie się od Polski sojuszników zachodnich: Francji, USA, Wielkiej Brytanii. Zrównanie naszego kraju z Niemcami (...), aby okupacja Polski przez siły radzieckie

wydawała się części opinii publicznej na Zachodzie równie konieczna, jak okupacja Niemiec hitlerowskich. Polska, dzięki propagandzie komunistycznej, miała wyrobiony jeszcze gorszy obraz niż Niemcy hitlerowskie, tym bardziej, że agenci wpływu podawali zachodniej prasie fałszywe dane zarówno co do pogromów w Rzeszowie i Krakowie, jak i w Kielcach. Zawyżano nieraz dziesięciokrotnie liczbę ofiar żydowskich w tych pogromach, a dziesięć do stukrotnie liczbę Polaków, którzy w tych pogromach uczestniczyli - nie wspominając, że pogromów dokonywali żołnierze i oficerowie znajdujący się bezpośrednio lub pośrednio pod dowództwem radzieckim. Ale właśnie pogromy zasiały na Zachodzie przekonanie, że tylko komuniści i opieka Rosji mogły być gwarantem, że w Polsce nastanie spokój, bezpieczeństwo i prawdziwa demokracja;

5) Badacze pogromu, którzy rozpatrują go z punktu widzenia skrajnej prawicy i nie należą do przyjaciół Żydów, twierdzą, że powód, dla którego wywołano pogromy w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji, był jeszcze inny. Były wynikiem skomplikowanej rozgrywki między Stalinem a światowym syjonizmem, wynikiem ryzykownej gry, jaką prowadzili światowi syjoniści, chcący doprowadzić do powstania państwa Izrael, i Józef Stalin. Według tych badaczy, pogromy miały wywołać masowy exodus Żydów ze Wschodniej Europy, co zmusiłoby Wielką Brytanię, sprawującą mandat nad ówczesną Palestyną, do przyjęcia - wbrew woli rządu brytyjskiego - wielkiej masy uchodźców. Uchodźcy ci mieliby osiedlać się w Palestynie, powiększać tam liczbę żydowskich osadników i w końcu zmusić państwa zachodnie do akceptowania powstania państwa Izrael. Na potwierdzenie swojej tezy podają, że od 1941 do 1948-49 roku komuniści sowieccy na rozkaz Stalina ukrywali antysemityzm, a Stalina powszechnie uważano za protektora i współtwórcę Izraela. Tak więc syjoniści działający w cichej zмовie ze Stalinem zyskaliby materiał ludzki dla Izraela. Stalin jednak miałby według tej tezy o wiele bardziej dalekosiężne plany - pragnął on zasiedlić Izrael, a także nasycić kraje Zachodniej Europy oraz Stany Zjednoczone Żydami, którzy byli komunistami i funkcjonariuszami partii komunistycznych na wschodzie Europy, a także wojsk komunistycznych, tajnych służb i aparatu terroru, którym Stalin nie pozwoliłby na zerwanie więzi z ośrodkami dywersyjno-spiegowskimi w Moskwie"[11].

O sowieckich celach wymownie świadczy opisany przez K. Kąkolewskiego w oparciu o udokumentowane źródła fakt, że zaledwie w kilka dni po zbrodni kieleckiej dowódca Wojsk Ochrony Pogranicza sowiecki generał Gwidon Czerwiński wezwał swego żydowskiego podwładnego Michała Rudawskiego, polecając mu zorganizowanie dwóch tajnych przejęć, ułatwiających Żydom opuszczenie Polski[12].

Na pohybel katolikom i Andersowi

Z kolei zdaniem księdza Jana Śledzianowskiego, autora obszernej książki o zbrodni kieleckiej, wydanej w 1999 roku, można było dostrzec 5 najważniejszych skutków antyżydowskich zająć kieleckich z lipca 1946 r:

- 1) Zbrodnia kielecka "ocaliła" honor Stalina i radzieckiego NKWD na procesie w Norymberdze (...);
- 2) Pogromem kieleckim komuniści zadali dotkliwy cios Rządowi Polskiemu w Londynie i generałowi W. Andersowi (...);
- 3) Pogrom umocnił rządy komunistów w Polsce i nadzór nad krajem ZSRR (...);
- 4) Pogrom był pretekstem do inwigilacji i prześladowań Kościoła (...);
- 5) W propagandzie Polacy zabijają - komuniści ocalają Żydów (...)"[13].

Myślę, że z przytoczonych dotąd opisów zbrodni kieleckiej 1946 r., metod zafałszowywania faktów wokół niej, likwidowania niewygodnych świadków, wreszcie przedstawionych w artykule przyczyn i skutków, niepodważalna wydaje się podzielana także przez niektórych

autorów żydowskich teza o tym, iż wydarzenia kieleckie 1946 roku były efektem starannie wyreżyserowanej prowokacji sowieckiej. W ostatnim odcinku, za tydzień, pokażę, jak w ostatnich latach nadal próbuje się wykorzystywać przeciw Polsce skutki zbrodni kieleckiej, dzisiejsze metody manipulowania tą sprawą.

prof. Jerzy Robert Nowak

Śródtytuły pochodzą od redakcji

[1] Cyt. za A. Bliss-Lane "Widziałem Polskę zdradzoną", wydawnictwo podziemne "Krağ", Warszawa 1984, s. 133

[2] Cyt. za L. Żebrowski, Pretekst kielecki, "Gazeta Polska" z 29 lutego 1996 r.

[3] M. Chęciński, op. cit., s. 32

[4] Tamże, s. 31

[5] Cyt. za K. Kąkolewski "Umarły cmentarz", Warszawa 1996, s. 191

[6] R. Buczek, op. cit., s. 206

[7] R. Buczek, op. cit., s. 207

[8] Por. I.C. Pogonowski "Jews in Poland", New York 1998, s. 403-420

[9] Por. I.C. Pogonowski "Reflections on Kielce and Communism: The Obstacle of the Kielce Pogrom to Polish-Jewish Reconciliation", [w:] "Kielce - July 4 1946. Background, Context and Events", Toronto and Chicago 1996, s. 69-104

[10] I.C. Pogonowski "Reflections on Kielce and Communism...", op. cit., s. 102-103

[11] K. Kąkolewski "Umarły cmentarz", Warszawa 1996, s. 192-194

[12] K. Kąkolewski, op.cit., s. 191

[13] J. Śledzianowski "Pytania nad pogromem kieleckim", Kielce 1999, s. 194-203

Ostatnia, siódma część artykułu na temat fałszowania prawdy o kieleckich zajściach 1946 r. ukaże się za tydzień w piątek.

Część VII

Dziesięciolecia PRL-u nie sprzyjały jakimkolwiek głębszym badaniom w kraju nad kulisami zbrodni kieleckiej. Ksiądz Jan Śledzianowski odnotował w swej książce pogróżki jednego z prominentów PZPR wobec profesora, który zaczął być zbyt dociekliwy w tej sprawie. Władza musiała pilnie czuwać, by nie trafiono na jej ślady, podobnie jak w przypadku tylu innych niewykrytych komunistycznych zbrodni. A tu jeszcze była sprawa pod "szczególnie ścisłym nadzorem", bo dotyczyła w dużej mierze agenturalnych działań sowieckich w Polsce. Zdawało się, że zmiany po czerwcu 1989 roku znacząco przyspieszą ostateczną likwidację "białej plamy" w kontekście zbrodni kieleckiej. Mogło tak się jednak tylko zdawać w sytuacji, gdy dzięki oszustwu magdalenkowemu starzy generałowie bezpieczeństwa mogli w najlepsze nadzorować proces niszczenia akt przynajmniej do lipca 1990 roku. W przypadku Kielc posłużono się zaś działaniem specjalnego typu.

Palenie dowodów

Jesienią 1989 r. w tajemniczych okolicznościach został wywołany pożar kieleckiego archiwum SB, gdzie magazynowano materiały operacyjne z lat 1945-49, w tym te dotyczące zająć antyżydowskich 1946 r. Wszystkie one spłonęły doszczętnie w ciągu 12-godzinnego pożaru. Jak oceniał Krzysztof Kąkolewski, "Pożar ten był przede wszystkim aktem ocenzurowania najważniejszego wydarzenia w tym mieście w jego powojennej historii, jakim był pogrom" (K. Kąkolewski: Umarły cmentarz, "Tygodnik Solidarność", 16 grudnia 1994 r.).

Co najważniejsze, doszczętnie spłonęły katalogi akt, tak że potem nie mając katalogów, nie można było nawet odtworzyć, co spłonęło. Znamienne było, że po wybuchu pożaru straż pożarną fałszywie poinformowano zarówno co do rozmiarów pożaru, jak i jego umiejscowienia, co tym bardziej wpłynęło na niepowodzenie akcji ratowania archiwum (zob. szerzej K. Kąkolewski: "Umarły cmentarz", Warszawa 1996, s. 18-20).

Zmienne koleje przemian politycznych po 1989 r., a zwłaszcza dojście do władzy postkomunistów w 1993 r. też nie sprzyjały działaniom zmierzającym do wykrycia kulisów komunistycznej zbrodni. Postkomuniści aż nadto byli zainteresowani tuszowaniem wszelkich materiałów na ten temat, opóźnieniami śledztwa lub spychania go na mylne tory. Wszystko w interesie najdogodniejszej dla nich wcześniejszej teorii spychającej winę za kielecką zbrodnię na polski "reakcyjny i klerykalny motłoch".

Sfuszerowane śledztwo

Ogłoszone w 1997 r. wyniki pięcioletniego śledztwa Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wywołały bardzo szybko ogromnie wiele ostrych krytyk i zastrzeżeń. Publicysta "Życia" Jerzy Morawski, analizując całą sprawę jako pierwszy wyraził przypuszczenie: "czy z przyczyn politycznych śledztwo nie zostało zmanipulowane, tak aby nic z niego nie wynikało?" (J. Morawski: Kto się boi procesu kieleckiego, "Życie" z 25-26 kwietnia 1998 r.). Przyjrzyjmy się dużo dokładniej całej sprawie. Inicjatorem wznowienia śledztwa w sprawie kieleckiej był na początku lat 90. sędzia Andrzej Jankowski, dyrektor Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Kielcach. Właśnie on wszczął śledztwo i prowadził je od listopada 1990 do końca 1991 r. (według tekstu A. Gassa: "Nienawiść czy prowokacja", 15 października 1997 r.). Sędzia A. Jankowski w uzasadnieniu decyzji o wszczęciu śledztwa pisał: "Postępowanie organów i niektórych osób odpowiedzialnych za zapewnienie porządku i bezpieczeństwa (...) może nasuwać podejrzenie, że nie zależało im na natychmiastowym stłumieniu zamieszek (...). W śledztwach i procesach związanych z pogromem nie wyjaśniono wiele istotnych okoliczności (...) prawdopodobna staje się teza, że do pogromu doszło w wyniku czyjegoś zorganizowanego działania, które (...) co najmniej szło na rękę niektórym organom ówczesnych władz Polski lub 'sprzymierzonych'".

Sędzia Jankowski prowadził śledztwo nader pracowicie z ogromnym zaangażowaniem, jak widać z rozmów z nim przytaczanych niejednokrotnie w książce ks. Jana Śledzianowskiego "Pytania nad pogromem kieleckim". W oparciu o wyniki prowadzonego przez niego śledztwa stał się absolutnie rzecznikiem tezy, że sprawa kielecka była wynikiem zorganizowanej komunistycznej sowieckiej prowokacji. Jak się zdaje, to jego przekonanie i wyjątkowe zaangażowanie w dążenie do wykrycia sprawców zbrodni stały się przyczyną odebrania mu sprawy i przekazania innemu prokuratorowi. - Ja miałem "za krótkie ręce" - wyjaśniał taki obrót sytuacji sędzia Jankowski (cyt. za A. Gass: op. cit.).

Znamienne jest, że prowadzone później przez innego prokuratora - Zbigniewa Mieleckiego śledztwo nie dało żadnych wyników po 5 latach prac i kończyło się konkluzją, aby "umorzyć sprawę". Wyniki śledztwa okazały się tak mierne, gdyż jak się okazało pominięto wiele działań niezbędnych do wykrycia prawdy. Ogłoszone przez Główną Komisję Badań Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wyniki śledztwa zostały zakwestionowane zarówno poprzez Prokuraturę Wojewódzką w Kielcach, jak i później przez Prokuraturę Apelacyjną w Krakowie. Prokurator wojewódzki z Kielc Jan Woźniak po kilkumiesięcznej analizie śledztwa uznał, że popełniono w czasie niego bardzo wiele błędów i zaniechań. Za ciężki błąd uznał na przykład pominięcie przesłuchania ponad 200 osób, które bezwzględnie należało przesłuchać. Byli pośród tych pominiętych m.in. liczni funkcjonariusze UB z Kielc, Komendy

Wojewódzkiej MO, komisariatu miejskiego milicji oraz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, żołnierze i oficerowie WP, Informacji Wojskowej i KBW, obecni na miejscu zbrodni. Jak pisał Jerzy Morawski w cytowanym wcześniej artykule: "Logiczne wydaje się wyjaśnienie, co każda z tych osób robiła w trakcie pogromu i kto wydał im konkretne rozkazy. W aktach komisji nie ma śladu próby odpowiedzi na te pytania. Nie podjęto nawet starań, aby stwierdzić, czy ci świadkowie żyją. Dlaczego te rutynowe czynności prokuratorskie zostały zaniechane przez komisję? - Pewne działania należało przeprowadzić, bo ich potrzeba wynikała z zebranych materiałów śledztwa - mówi prokurator Jan Woźniak. Nie mogę znaleźć racjonalnego wyjaśnienia, dlaczego je pominięto".

Znamienna była różnica podejścia prokuratorów kieleckich i Głównej Komisji do wiarygodności tezy o prowokacji jako przyczynie zbrodni. Jak pisał Morawski: "Kieleccy prokuratorzy po przeanalizowaniu 23 tomów akt komisji (w ich opinii - niepełnych i fragmentarycznych) skłaniają się do twierdzenia, że pogrom kielecki był wynikiem zaplanowanej prowokacji. Główna Komisja orzekła na podstawie tych samych akt, że wersji o prowokacji nie można potwierdzić". Prokurator Jan Woźniak jednoznacznie stwierdził, że "najbardziej prawdopodobną przyczyną wybuchu pogromu kieleckiego jest sprowokowanie go przez organy bezpieczeństwa. Wśród dowodów na to wyliczył m.in. fakt, że władze dysponowały wówczas w Kielcach takimi siłami wojska, które w ciągu kilku minut przerwałyby zajęcia. Przypominał, iż: "Z akt komisji wynika, że w archiwach są dokumenty świadczące o tym, że organy bezpieczeństwa zaangażowane były w inspirowanie pogromów w Krakowie, Rzeszowie i innych miastach. Dlaczego nie zajęto się tym ważnym śladem? Dokumenty komisji zawierają informacje, że w okresie poprzedzającym pogrom Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa w Kielcach słał do centrali MBP w Warszawie bieżące raporty o nastrojach antysemitycznych w Kielcach. - To dowód, że badano nastawienie ludności - podkreśla prokurator Woźniak. Wręcz pojawiła się w raportach pogłoska o porywaniu przez Żydów dzieci do celów rytualnych (a taka plotka stała się detonatorem pogromu). Dlaczego nagle badano antysemityzm kielczan? Czy specjalnie nie preparowano raportów, aby później uzasadnić, że pogrom wybuchł tam, gdzie już od dawna się tlił? - Komisja nie dociekała, dlaczego powstawały raporty poprzedzające wydarzenia, jaki był ich związek z późniejszą tragedią - mówi prokurator Woźniak. - Przecież pod tymi raportami są podpisy konkretnych funkcjonariuszy. Należy ich odnaleźć i jeśli żyją przesłuchać (...) Za specjalistę od organizowania pogromów uchodził szef WUB w Kielcach, Władysław Sobczyński. Gdy kierował UB w Rzeszowie, doszło tam do antyżydowskich zająć. Podobnie, gdy przebywał w Krakowie - wybuchł pogrom. Komisja nie szukała analogii między tymi wydarzeniami (...) Główna Komisja nie ustaliła kręgu osób pokrzywdzonych przez pogrom. Nie wiadomo, kto poniósł śmierć, kto został ranny, a kogo obrabowano (...) W aktach Głównej Komisji istnieje raport o pogromie napisany przez szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach, Henryka R. Nie został on jednak przesłuchany, nie próbowano go odnaleźć (...)" (cyt. za J. Morawski: op. cit.). Komisja nie ustaliła także roli, jaką odgrywał Diomin, sowiecki doradca centrali MBP, który w czasie pogromu przebywał w Kielcach. Czy to przypadek, że tam się akurat znalazł?

Jerzy Morawski zwrócił uwagę na istotne jego zdaniem polityczne uwarunkowania, które mogły wpłynąć na ogłoszone w październiku 1997 roku ustalenia Głównej Komisji, działającej pod bezpośrednim nadzorem ówczesnego ministra sprawiedliwości Leszka Kubickiego. Komisja ta wbrew jakże odmiennym ocenom kieleckich prokuratorów stwierdziła, że: "ustalenie rzeczywistych przyczyn wydarzeń kieleckich jest praktycznie niemożliwe". Sam minister Leszek Kubicki - mimo z gruntu odmiennych ocen kieleckich prokuratorów badających akta pięcioletniego śledztwa - powiedział: "Ustalenia komisji nie pozwalają stwierdzić, że doszło do prowokacji".

Publicysta "Życia" J. Morawski, zastanawiając się nad przyczyną tak rozbieżnych stanowisk

Komisji i prokuratorów kieleckich, wskazał na dość szczególne postaci kierujące Główną Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Otóż funkcję dyrektora generalnego tej komisji sprawował mianowany przez SLD-owskiego ministra sprawiedliwości W. Cimoszewicza Ryszard Walczak, awansowany na to stanowisko mimo braku jakichkolwiek doświadczeń w badaniu zbrodni stalinowskich czy hitlerowskich. Przedtem pracował m.in. w WSNS przy KC PZPR, w gabinecie prezydenckim W. Jaruzelskiego. Jego pracę habilitacyjną zdyskwalifikowała komisja kwalifikacyjna w 1990 r. Zastępcą Walczaka był prokurator ze stalinowską przeszłością Stanisław Kaniewski. Obaj panowie przeprowadzili w 1993 r. odpowiednie zmiany kadrowe w Komisji, odsuwając na przykład od śledztw w sprawach katów stalinowskich sędziego Wiśniowskiego, bo był żołnierzem AK, czy sędziego Naruszewicza, który walczył w Powstaniu Warszawskim. Na tym tle bezprzedmiotowe wydaje się końcowe pytanie postawione przez Jerzego Morawskiego: "Czy Walczak z Kaniewskim, którzy w 1993 roku usuwali z pracy prokuratorów, byłych żołnierzy AK, prowadzących ważne śledztwo, mogli być zainteresowani dogłębnym wyjaśnieniem kulis kieleckiego pogromu?". Cała sprawa dowodzi, że sfuszerowany werdykt, jak nazwałem wynik śledztwa IPN w sprawie Jedwabnego, nie jest niczym nowym. Zbyt dużo bowiem mamy w naszym sądownictwie prokuratorów skłonnych do naginania śledztwa do odgórnych a priori przyjętych ustaleń "poprawnych politycznie". Jest to sprawa smutna, bo najlepiej dowodzi, jak silny jest "trań w pałacu sprawiedliwości", uniemożliwiający rzetelne poszukiwania prawdy o przyczynach i przebiegu zbrodni.

Prokuratorzy niedołęzni czy gmatwacze

Śledztwo w sprawie kieleckiej zawieszono w grudniu 1998 roku, gdy likwidowano Komisję. Od lipca 2001 r. zostało ono wznowione przez prokuratora Krzysztofa Falkiewicza z kieleckiego ośrodka Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, podległej IPN. Jakie będą efekty tego śledztwa? Obawiam się, że bardzo mizerne, sądząc po niektórych wypowiedziach tegoż prokuratora Falkiewicza, zacytowanych w "Tygodniku Powszechnym" z 7 kwietnia 2002 r. Zaczniemy od sprawy pracownika UB (kierowcy), który jak donosiła prasa codzienna zgłosił się z informacjami o podsłuchanej przez niego w samochodzie rozmowie, dowodzącej zamieszania jego zwierzchników w przygotowany mord Żydów. Prokurator Krzysztof Falkiewicz mówi redaktorom "Tygodnika Powszechnego": "Słyszałem o jakimś kierowcy z UB. - Ale w aktach sprawy nie ma jego zeznań. Nie wiem, gdzie teraz jest, nie znam nawet jego inicjałów. Byłoby to istotne zeznanie, ale stara maksyma prawnicza mówi: 'jeden świadek, żaden świadek'" (cyt. za M. Flak, M. Zajac: Siódma hipoteza, Kiedy zakończy się śledztwo IPN w sprawie pogromu kieleckiego?, "Tygodnik Powszechny" 7 kwietnia 2002 r.). W sprawie tego samego świadka kierowcy poprzedni prokurator Mielecki mówi redaktorom "Tygodnika Powszechnego" (op. cit.): "Ja go chyba nawet przesłuchiwałem. Ale te zeznania nie były wiele warte". Prokurator, który mówi o tym, że chyba przesłuchiwał jakiegoś świadka, to chyba nie zasługuje na pracę w prokuraturze, jak ma taki bałagan w pracy i w myśleniu. Z kolei zdumiewający jest niedołęzny prokurator Falkiewicz, który za nic nie może się dowiedzieć inicjałów czy nazwiska świadka, mogącego złożyć 'istotne zeznanie'. Nie może się dowiedzieć, choć prowadzi śledztwo już ponad rok (od lipca 2001 roku), a przesłuchiwał go 'chyba' jego poprzednik - prokurator Mielecki. I dziwnym trafem nie ma w aktach tych zeznań. To co z tymi zeznaniami zrobił prokurator Mielecki, jeśli go 'chyba' przesłuchiwał. Panowie prokuratorzy, albo jesteście zupełnymi niedołączkami albo wyznajcie, że z sobie tylko znanych powodów nie spieszy się wam z dotarciem do prawdy w tak ważnej sprawie. Tertium non datur!

Wspomniany prokurator Falkiewicz głosi w rozmowie z redaktorami "Tygodnika Powszechnego" (op. cit.): "Co więcej pogrom nie był na rękę władzy ludowej. Wskazuje na to gwałtowna reakcja szefa MBP Stanisława Radkiewicza. Pokazowy proces był właściwie odcięciem się państwa od mordu". Przecież takie twierdzenie jest dowodem albo absolutnej ignorancji, albo świadomego gmatwania. W świetle faktów aż nadto dobrze wiadomo, że zbrodnia kielecka była władzy ludowej bardzo, ale to bardzo na rękę, odwracając uwagę Zachodu od sfałszowanego referendum. I ułatwiając rozpoczęcie nagonki przeciwko andersowcom, "reakcji", Kościołowi, PSL-owi. I właśnie gwałtowna reakcja ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza była tego najlepszym dowodem. Przemawiając w dniu pogrzebu Żydów kieleckich, "powiedział nad otwartą mogiłą, że pogrom był dziełem emisariuszy Rządu Polskiego na Zachodzie i gen. Andersa przy poparciu AK-owców. Zapowiedział wielki proces sądowy, w którym wszystko zostanie omówione i osądzone" (cyt. za J. Śledzianowski: op. cit., s. 196). Jak komentował to stwierdzenie Radkiewicza ks. J. Śledzianowski (op. cit., s. 196): "I rzeczywiście procesy się zaczęły i pogromy też 'band podziemia', ludzi AK. Nie trzeba było długo czekać...". Już parę miesięcy potem, 27 września 1946 r. komunistyczna Rada Ministrów pozbawiła gen. Andersa obywatelstwa polskiego za to, że "organizował i popierał walkę ośrodków terrorystyczno-dywersyjnych w kraju przeciwko interesom narodu polskiego i demokratycznej władzy polskiej". Jednocześnie z nim pozbawiono polskiego obywatelstwa 75 generałów i starszych oficerów, w tym słynnego bohatera walk na zachodzie Europy w 1944 roku - gen. Stanisława Maczka.

W innym miejscu relacji "Tygodnika Powszechnego" czytamy dość szczególne wyjaśnienie Falkiewicza: "Nieudolność UB może świadczyć o prowokacji, ale i o zwyczajnym zaskoczeniu. Nagle zebrał się spory agresywny tłum". Otóż, jak to jeszcze podejmę w innym fragmencie tekstu, nigdy nie było "sporego agresywnego tłumu". Sięgał on według wiarygodnych świadectw najwyżej 300 osób, a inicjatorami agresywnych działań wobec Żydów byli wojskowi i milicjanci. Czy można w ogóle mówić o "zaskoczeniu" UB, jeśli zajścia antyżydowskie trwały wiele godzin?

Przyglądając się stylowi prezentowanych wyżej uwag prokuratora Falkiewicza na temat zajść kieleckich, już można bez trudu przewidzieć, że jego dochodzenie najwyraźniej zmierza do równie "obiektywnego" werdyktu w sprawie kieleckiej jak werdykt IPN w sprawie Jedwabnego. Jeśli bowiem śledztwo prowadzi prokurator tak "rozumujący" jak Falkiewicz, to i wynik będzie odpowiednio "poprawny politycznie".

Manipulacje postkomunistów

W lutym 1996 r., na kilka miesięcy przed obchodami 50. rocznicy zbrodni kieleckiej doszło do pierwszej spektakularnej próby zmanipulowania tej sprawy przez postkomunistycznego prominenta. "wczesny minister spraw zagranicznych Dariusz Rosati wystąpił z osobnym posłaniem do Światowego Kongresu Żydów, zawierającym przeprosiny całej światowej społeczności żydowskiej za zbrodnię kielecką. Rosati stwierdził m.in.: "Nowa demokratyczna Polska wyraża głęboki żal za wszystkie krzywdy, jakich doświadczył naród żydowski. W 1996 r. opłakiwać będziemy ofiary haniebnego pogromu kieleckiego, popełnionego 50 lat temu podczas chaosu polskiej wojny domowej. Ten akt polskiego antysemityzmu uznać musimy za naszą wspólną tragedię. Wstyd nam, że do tej tragedii doszło w Polsce, w której hitlerowcy zbudowali obozy zagłady. Wstyd nam, że Polacy popełnili tę zbrodnię. Prosimy was o wybaczenie". Przeprosiny Rosatiego były typowym przykładem postkomunistycznych manipulacji, zmierzających do zacierania pamięci o komunistycznych sprawcach zbrodni kieleckiej i "odpowiedniego" obciążenia nią Narodu. List Rosatiego wywołał ostry protest

zjazdu ZChN, który uznał go za sprzeczny z badaniami historyków, wskazującymi na to, że pogrom kielecki był prowokacją "komunistycznych sił specjalnych". W uchwale zjazdu ZChN list Rosatiego określono jako "wyrzeczenie się polskiej racji stanu".

Prawdziwym szczytem zafałszowań sprawy zająć kieleckich 1946 r. stały się obchody 50. rocznicy tych zająć w lipcu 1996 r. Ton manipulacjom nadał ówczesny premier Włodzimierz Cimoszewicz, syn oficera Informacji Wojskowej w czasach stalinowskich, akcentując: "Pogrom kielecki - niezależnie od tego, kto go inspirował - jest także częścią naszej pamięci (...) hitlerowski faszyzm zapuścił korzenie rasowej i religijnej nienawiści, antysemityzmu i ksenofobii również wśród swoich przyszłych ofiar. Wyzuł wielu spośród tych, co przeżyli, z uniwersalnych zasad moralnych. (...) Głęboko bolejąc z powodu wszystkiego, w czymkolwiek Polacy zawinili wobec Żydów, i szczerze za to przepraszając, widzimy potrzebę pracowania dla prawdziwego polsko-żydowskiego pojednania i braterstwa".

Manipulowania przez postkomunistyczne władze rocznicą antyżydowskich zająć kieleckich sprowokowały liczne protesty. Jednym z najbardziej znaczących było oświadczenie ks. bp. Adama Lepy, który stwierdził w homilii wygłoszonej do rzeszy słuchaczy Radia Maryja: "Za zamieszki w Kielcach przeprasza się ze strony wszystkich Polaków, a nie ówczesnych ciemniejszych Narodu. Niedługo doczekamy się przeprosin ze strony wszystkich Polaków za zamordowanie księdza Popiełuszki" (cyt. za J. Noszczyk: Demokracja bez krzyża, "Gazeta Wyborcza" z 15 lipca 1996). Ze zdecydowanym protestem przeciwko przeprosinom Cimoszewicza wystąpił Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej (ŚŻŻAK), a więc formacji tak silnie zaangażowanej w czasie wojny w pomoc Żydom (akcja "Żegota", etc.). W oświadczeniu ŚŻŻAK stwierdzono m.in.: "(...) budzą sprzeciw wypowiediane w imieniu narodu polskiego słowa ekspiacji, niedwuznacznie obciążające naród polski za tę zbrodnię" (cyt. za JCK: Nie oskarżać narodu polskiego, "Myśl Polska" z 21 lipca 1996). Protestowało również Porozumienie Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych, stwierdzając m.in.: "Zamiast niesłusznie oskarżać cały naród o antysemityzm i bić się w piersi w jego imieniu premier Cimoszewicz powinien przeprosić za zbrodnię, której dokonali jego ideowi poprzednicy" (cyt. tamże).

Uragające normom kulturalnym wystąpienie E. Wiesela

Drugim bardzo nieprzyjemnym zgrzytem obchodów 50-lecia zbrodni kieleckiej było wystąpienie żydowskiego laureata Pokojowej Nagrody Nobla Elie Wiesela, znanego skądinąd ze skrajnej tendencyjności, antychrześcijańskich i antypolskich uprzedzeń (m.in. nierzetelnych krytyk pod adresem Jana Pawła II). Wiesel postawił znak równości między spowodowaną przez Niemców zagładą Żydów a wydarzeniami kieleckimi, stwierdzając: "To, co zdarzyło się w tym miejscu, ukazało, że 'normalni' obywatele mogą być tak okrutni, jak mordercy z obozu zagłady. Jeśli gwałtowny przedwojenny antysemityzm utorował drogę Holokaustowi, pogrom kielecki potwierdził jego cel. (...) Kieleccy mordercy byli Polakami. Ich językiem był polski. Ich nienawiść była polska. (...) Jak to było możliwe, aby wielki oszalały tłum został zainspirowany, i by pozwolono mu zabijać przez niemal cały dzień" (cyt. za Z. Lipiński: Druga prowokacja kielecka, "Myśl Polska" z 21 lipca 1996 r. i J. Śledzianowski: "Pytania nad pogromem kieleckim", Kielce 1999, s. 84, 113). Już te słowa Wiesela były krzywdzącą nieprawdą i policzkiem dla milionów Polaków. Jak napisał ks. J. Śledzianowski w wystąpieniu Wiesela "odpowiedzialność ze służb komunistycznych, które z bronią w ręku dokonywały zbrodni, przerzucono na naród polski. Ten naród, który podobnie jak Żydzi, przeżył piekło agresji niemiecko-sowieckiej na Polskę i wyniszczającą II wojnę światową" (J. Śledzianowski: op. cit, s. 111). Rażącym kłamstwem było również stwierdzenie o rzekomym "wielkim oszalałym tłumie", całkowicie sprzeczne z faktami, o których piszę w

innym miejscu tekstu. W swym wystąpieniu Wiesel posunął się jednak jeszcze dalej, aż do hucpiarskiej ingerencji w sprawy polskie, domagając się wyrugowania krzyży z Brzezinki, twierdząc, że ich obecność na terenie obozu oświęcimskiego jest "błźnierstwem" dla Żydów. Powiedział m.in.: "(...) obecność krzyży na świętej ziemi pokrywającej niezliczone żydowskie ofiary w Birkenau była i pozostaje obelgą. (...) Nie ma żadnego uzasadnienia dla stawiania krzyży. (...) Ktokolwiek to uczynił mógł być kierowany dobrymi intencjami, ale rezultat jest katastrofalny, jest błźnierstwem" (cyt. za Z. Lipiński: op. cit.). Przy okazji Wiesel odsłonił rolę Cimoszewicza, który obiecał mu zająć się sprawą usunięcia krzyży.

Wystąpienie Wiesela wywołało bardzo wiele protestów w Polsce. Warto tu zacytować m.in. fragmenty z jakże znaczącego obszernego protestu redakcji "Niedzieli" przeciwko wypowiedzi Elie Wiesela ("Niedziela" z 21 lipca 1996 r.). Pisząc o przemówieniu Wiesela, redaktorzy "Niedzieli" stwierdzali m.in.: "Zarówno treść tego przemówienia, jak i okoliczności, które doprowadziły do jego wygłoszenia, wywołują zaniepokojenie, wzbudzają odległe w czasie antagonizmy i obnażają słabość polskiej dyplomacji, która zezwala na publiczne, czynione z aprobatą władz łamanie podstawowych swobód obywatelskich i naruszenie polskiej racji stanu.

Mówiąc o akcie zbiorowego mordu dokonanego w Kielcach w 1946 r. Elie Wiesel uprzedził wynik postępowania sądowego toczącego się w tej sprawie, jednoznacznie przypisując obywatelom polskim odpowiedzialność za podżeganie do zbrodni. Elie Wiesel powiedział m.in.: 'Kieleccy mordercy byli Polakami'. Naruszył w ten sposób podstawowe prawo do dobrego imienia, za co w prawodawstwie cywilizowanego świata grożą określone konsekwencje.

Publiczne żądanie - wyrażone wobec mieszkańców dzisiejszych Kielc oraz odbiorców mediów masowych - usunięcia krzyża z terenu obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu nosi wszelkie znamiona wywoływania antagonizmów religijnych, od których polskie społeczeństwo jest wolne.

Odwaga w wygłoszeniu tego żądania, będąca - jak się wydaje - wynikiem wcześniejszych uzgodnień w tej sprawie u Premiera Rzeczypospolitej Polskiej, obnaża słabość polskiej dyplomacji. Elie Wiesel powiedział: 'Pańskie postępowanie Panie Premierze napełnia nas otuchą. (...) Był Pan łaskaw obiecać, że osobiście zajmie się Pan kilkunastoma krzyżami wzniesionymi w Birkenau'.

Do czego w konsekwencji prowadzi zgoda na panoszenie się w kraju obcych interesów, przekonują lata obu okupacji. To właśnie wówczas m.in. na polskiej ziemi, obcymi rękoma dokonywano czynów, za które dzisiaj chce się obarczać społeczeństwo polskie. (...)

Ponawianie aktów przeprosin przez każdego nowego polskiego prezydenta czy premiera może być różnie interpretowane (...), tym bardziej, że - jak dotychczas - antypolonizm żydowski nie doczekał się równie spektakularnych przeprosin".

Deir Yassin: żydowska hańba

Kieleckie potępienia Polaków i Krzyża przez "pokojowego" noblistę Elie Wiesela były swego rodzaju szczytem hipokryzji. Z aroganckim osądem Polaków występował człowiek, który nigdy nie zdobył się nawet na choćby cień rozliczenia z własną potworną żydowską "hańbą domową" - okrutną zbrodnią w Deir Yassin. Chodzi o wymordowanie w tej arabskiej wiosce w pobliżu Jerozolimy przez terrorystyczne bojówki izraelskie 254 osób: mężczyzn, kobiet, dzieci i głównie starszych bezbronnych mężczyzn. (O zbrodni tej dużo szerzej napiszę w zestawieniu z Kielcami w następnym odcinku). Tu chciałbym przypomnieć, że Wiesel niejednokrotnie był krytykowany za całkowite milczenie w sprawie tej nieludzkiej historii i zafałszowanie powojennych dziejów Izraela. Oskarżano go o to m.in. w wydanej w 1998 r.

książce "Remembering Deir Yassin", współautorem której był żydowski teolog i naukowiec Marc H. Ellis. Jak wspomniano w tej publikacji - Wiesel winę za zło w stosunkach z Izraelczykami zrzucił na Palestyńczyków, akcentując, że Żydzi jakoby po holokauście "wybrali człowieka" zamiast zemsty. Okrutna masakra 254 bezbronych Arabów w Deir Yassin przez bojówki późniejszego premiera Izraela Menachema Begina ukazała, jak nieprawdziwe jest stwierdzenie Wiesela o tym, że Żydzi nie dążą do zemsty i "wybrali człowieka". W przeciwieństwie do wielkiej XX-wiecznej Żydówki Hannah Arendt - Wiesel nigdy nie był zdolny do narodowego samorozrachunku i zawsze wybierał farezyjskie pouczanie innych.

Część VIII

Zafałszowania w mediach

Po dziesięcioleciach przemilczeń sprawy zbrodni kieleckiej w tekstach autorów krajowych (poza rzadkimi wyjątkami na łamach prasy) w latach 90. doszło do wyraźnej eksplozji prac na ten temat. Wydane zostały m.in. prace książkowe Tadeusza Wiącka: "Zabić Żyda - Kulisy i tajemnice pogromu kieleckiego 1946" (Kraków 1992), Bożeny Szaynok: "Pogrom Żydów w Kielcach 4 lipca 1946 r. (Warszawa 1992), i cytowane już przeze mnie wielokrotnie książki Krzysztofa Kąkolewskiego "Umarły cmentarz" (Warszawa 1996) i ks. Jana Śledzianowskiego "Pytanie nad pogromem kieleckim" (Kielce 1999). Te dwie nowsze książki osobiście najwyżej oceniam spośród krajowej literatury przedmiotu. Przytoczone w pozycjach książkowych materiały dały bardzo wiele nowych informacji, rozbiły wiele niejasności, mitów i fałszów. Zarówno Kąkolewski, jak ks. Śledzianowski jednoznacznie dowiedli, w oparciu o bardzo bogatą faktografię, że zbrodnia kielecka była wynikiem sowieckiej prowokacji i jednoznacznie potwierdzili w tym względzie dużo wcześniejsze ustalenia na ten temat podane w książce b. polskiego oficera pochodzenia żydowskiego Michaela Chęcińskiego "Poland - Communism - Nationalism - Antisemitism" (New York 1983). Rzecz znamienita, że właśnie te najbogatsze w faktografię i dowody komunistycznej prowokacji książki Kąkolewskiego i Śledzianowskiego zostały najwyraźniej przemilczane w najbardziej wpływowych przekazach, od telewizji po "Gazetę Wyborczą" i inne tego typu organy. Obie książki były bowiem wyraźnie "niepoprawne politycznie" - obalały tak miły wielu żydowskim i filosemickim dysponentom mediów mit o zbrodni kieleckiej jako dziele fanatycznego polskiego "reakcyjnego i klerykalnego motłochu". Znamienne było pod tym względem również kilkuletnie blokowanie przez telewizję emisji filmu Andrzeja Miłosza (brata noblisty) i Piotra Weycherta "Henio" - zawierającego wyznania Henryka Błaszczyka, jednoznacznie dowodzące przygotowania pogromu kieleckiego przez ubeków.

Kłamstwa Krystyny Kersten

Przemilczając próby pokazania pełnej prawdy o enkawudowsko-ubeckich korzeniach zająć kieleckich 1946 roku w najbardziej wpływowych mediach od telewizji po "Wprost" i "Politykę", tym skwapliwiej lansowano najróżniejsze próby zrzucenia całej winy za zbrodnię kielecką na "ciemny" polski tłum. Można by długo tu wyliczać publikacje autorów, snujących na temat Kielc najbardziej szkodliwe antypolskie uogólnienia w stylu Sławomira J. Maca. Pominę tu jednak ich żenujące częstokroć wprost swą tendencyjnością i brakiem logiki publicystyczne uogólnienia. I ograniczę się do najbardziej lansowanej w mediach autorki tekstów o Kielcach 1946 r. - prof. Krystyny Kersten. Autorki, nie da się tego ukryć, wielce zahartowanej w kłamstwach o historii. Już w 1965 roku wydała swą pierwszą pełną zakłamania pracę - panegiryczną książkę o PKWN, w której wychwalała "mądrą politykę obozu demokratycznego" i piętnowała niepodległościowe podziemie za "podsycanie

dezorientacji i nieufności", "zastraszanie ludności" oraz "kompleks antyrosyjski". W 1967 roku K. Kersten jako autorka hasła o Polsce Ludowej w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN stwierdziła, że PKWN miała na celu m.in. "zabezpieczenie państwa przed atakami nacjonalistycznego podziemia", zaś "działalność skrajnie prawicowych odłamów podziemia ewaluowała w kierunku terroru, który niekiedy przeradzał się w bandytyzm". W 1981 roku, gdy stawianie na "Solidarność" stało się modne w kręgach dużej części "warszawki", związanej poprzednio z PZPR-em, K. Kersten wystąpiła na łamach tygodnika "Solidarność" z artykułem wyraźnie głoszącym tezy o zbrodni kieleckiej jako komunistycznej prowokacji. Wtedy takie stawianie sprawy zyskiwało szczególne poparcie, ułatwiało "nobiletowanie" wśród opozycji tak długo związanej z partyjną wykładnią historyczki. Po 1989 roku jednak, wraz z opanowaniem przez lewicę "internacjonalistyczną" (także opozycyjną) najbardziej wpływowych mediów, przestało być "modne" rewidowanie antypolskich kłamstw komunistycznych, a na porządku dziennym stanęło służenie tropieniu "polskiego antysemityzmu". W tej sprawie Kerstenowa szybko zdobyła palmę pierwszeństwa wśród historyków. Już w 1992 roku, po powrocie ze spotkania historyków polskich i izraelskich w Tel Awiwie, chwaliła się, iż będąc członkiem polskiej delegacji "o wiele silniej akcentowałam fakty obciążające Polaków" ("Przegląd Tygodniowy" 2 lutego 1992 r.). W tymże 1992 roku wydała pełną zafałszowań historii stosunków polsko-żydowskich książkę "Polacy. Żydzi. Komunizm. Anatomia półprawd 1939-68". W rozdziale na temat Kielc 1946 r. mnożyła najbardziej ordynarne i tendencyjne uogólnienia w stylu: "Skoro wystarczała pogłoska o mordzie rytualnym, by zaczął zbierać się tłum, gotów do niepohamowanej agresji, nie trzeba było zbrodniczego zamysłu, wystarczyła ciemnota, siła przesądu, zakorzenione fobie". 8 czerwca 1996 r. Kersten przebiła wszystkie swe dotychczasowe kłamstwa artykułem "Ręka Polaka", opublikowanym w "Polityce". Lansując jednoznacznie tezę o odpowiedzialności "polskiego motłochu" za zbrodnię kielecką, dla jej tym mocniejszego uwypuklenia opatrzyła swój tekst zdjęciem szczególnie drastycznie przedstawiającym okrucieństwo rzekomego polskiego tłumu wobec mordowanych Żydów. Szybko zdemaskowano jednak tę fałszywkę. Okazało się, że publikowana przez Kersten odpowiednio spreparowana fotografia (wycięto nazbyt wyrazistego SS-mana w mundurze) rzekomych Polaków była już publikowana 15 lat wcześniej w USA. W rzeczywistości przedstawiała mordowanie Żydów na ulicach Kowna przez Niemców i ich litewskich popleczników. K. Kersten nie zdobyła się nawet na przeproszenie czytelników za taką próbę, delikatnie mówiąc, "zmanipulowania" ich wyobrażeń.

"Wyznania" Henryka Błaszczyka

Jak wiadomo, w zainicjowaniu prowokacji w 1946 r. w Kielcach znaczącą rolę odegrało tajemnicze zaginięcie małego chłopca Henryka Błaszczyka, który potem wraz z ojcem poszedł na milicję, twierdząc, że był przetrzymywany przez Żydów. Chłopiec nie został powołany na świadka w procesie kieleckim w 1946 r., choć go przetrzymywano w UB (wraz z matką i bratem) aż do 17 lutego 1947 r. Później okazał się na tyle "godny zaufania", że przez wiele lat strzegł z bronią w ręku gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Kielcach. A jednak w latach 90., na kilka lat przed śmiercią, Henryk Błaszczyk zdecydował się "mówić" o tym, co wie na temat prowokacji kieleckiej. Jak twierdził do współautora filmu o nim, Andrzeja Miłosza: "Panie Miłoszu, chyba Bóg tak chciał, że ja pana spotykam, bo byłem u spowiedzi i książd kazał mi całą prawdę o pogromie powiedzieć" (cyt. za M. Flak, M. Zajac: Siódma hipoteza. "Tygodnik Powszechny" 7 kwietnia 2002 r.). Twórcom filmu: A. Miłoszowi i P. Weychertowi, Henryk Błaszczyk ujawnił prawdę o roli ubeków w prowokacji kieleckiej, w tym rolę własnego ojca - ubeka. Sprawę tych "wyznań" szerzej opisał ks. Jan Śledzianowski, któremu Błaszczyk również szeroko opisał swą tragiczną historię. Czytelników "Naszego Dziennika" odsyłam więc do cytowanej już tylekroć książki ks.

Śledzianowskiego. Zacytuję tu tylko kilka jakże wymownych cytatów z tej książki. Na s. 22 czytamy, jak ubowiec po wypuszczeniu Błaszczyka z więzienia w lutym 1947 r. powiedział: "jeśli piśniesz komu słowo, że nie byłeś u Żydów, to zginiesz tak, jak ci Żydzi". Na s. 25 czytamy, jak Błaszczyk opowiada: "W naszym mieszkaniu to była taka melina UB. Nawet jeden z tych ubowców ożenił się u ojca brata z córką". Na s. 25-26 dowiadujemy się, jak matka Henryka Błaszczyka ostrzegała swojego syna. "W czasie ĆSolidarnościĆ jeszcze przed stanem wojennym, kiedy różni ludzie zaczęli się sprawą interesować i odnajdywali mnie, matka prosiła, abym nic nie mówił, bo zginę" - wyznawał Błaszczyk.

Mordowały "osoby urzędowe"

W sprawie kieleckiej wciąż dominują różne przemilczenia. Dlaczego autorzy negujący tezę o zbrodni kieleckiej jako cynicznie zrealizowanej prowokacji komunistycznego reżimu przemilczają w swej argumentacji tak wiele niewygodnych dla nich faktów? Dlaczego milczą na przykład o tym, że: "Na jednym z trzech egzemplarzy, opatrzonych klauzulą Ćściśle tajneĆ, sprawozdania z kieleckich wydarzeń z 19 lipca 1946 r., które trafiło na biurko gen. Mariana Spychalskiego, zastępcy naczelnego dowódcy Wojska Polskiego, ówczesny naczelny prokurator WP płk Henryk Holder dopisał odręcznie: ĆZe sprawozdania wynika nie tylko indolencja władz odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i porządek w Kielcach, ale wręcz udział i (słowa nieczytelne) szeregu osób urzędowych w dokonywaniu pogromuĆ" (cyt. za J. Śledzianowski: "Pytania nad pogromem kieleckim", Kielce 1999, s. 80). Jak na tle tego "udziału szeregu osób urzędowych w dokonywaniu pogromu", który przyznawał nawet ówczesny naczelny prokurator wojskowy, może być podtrzymywana teza Krystyny Kersten o zbrodni kieleckiej jako skutku pogromowej psychozy wśród ciemnego kieleckiego motłochu. Bo - jak głosiła Kersten "nie trzeba było zbrodniczego zamiaru, wystarczała ciemnota, siła przesady".

Partia wiedziała wcześniej

Kolejne pytanie: dlaczego w Kielcach już przed południem 4 lipca 1946 r. pojawili się specjaliści wysłannicy KC PPR, najwyraźniej wysłani z Warszawy rankiem, gdy jeszcze nie było śladów żadnego pogromu? Pytanie to zadawał już w 1992 r. piszący o kieleckiej zbrodni dziennikarz "Gazety Wyborczej" Włodzimierz Kalicki, zapytując dosłownie: "...jakim cudem specjaliści wysłannicy KC PPR, Chełchowski i Buczyński, zjawili się w Kielcach przed południem? Decyzję o wysłaniu ich do Kielc podjąć musiał ktoś z najbliższego kierownictwa partyjnego. Podjęcie decyzji i dojazd do lotniska zająć musiały 20-30 minut. Lot na podkieleckie lotnisko stosowanym powszechnie wówczas do takich celów kukuruźnikiem, osiągającym w sprzyjających warunkach prędkość do 150 km na godz., trwać musiał około 1,5 godziny. Dojazd częściowo gruntową, a częściowo szufrową drogą do Kielc nie mógł trwać krócej niż następne pół godziny. Decyzję o wylocie delegatów w celu obserwacji pogromu podjęto zatem w Warszawie między godz. 9.00 a 9.30, gdy pogrom się jeszcze nie zaczął i nic nie wskazywało, że dojdzie do poważnego rozlewu krwi". (cyt. za J. Śledzianowski: op. cit., s. 81-82). To w KC PPR byli już tak "przewidujący" znawcy tego, co się zdarzy w Kielcach?!

Żydowscy ubecy pozwolili Żydom zginąć

Inne pytanie. W ówczesnym polskim aparacie bezpieczeństwa dominującą rolę odgrywają komuniści żydowskiego pochodzenia, począwszy od sprawującego jako członek Biura Politycznego KC PPR nadzór nad bezpieczeństwem Jakuba Bermana. Wiadomo, jak wielkie wpływy mieli tacy bezpieczniacy żydowscy, jak Romkowski, Rózański (Goldberg), Fejgin czy Światło. Wiele godzin trwa pogrom Żydów, wojsko i UB zachowują zdumiewającą beczynność, a Żydzi w kierownictwie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i UB nie

robią nic dla pogonienia opieszających kieleckich podwładnych, dla zagrożenia im odpowiednio surową karą za bezczynność. Przecież istniały wtedy też telefony i telegrafy. Równie bezczynni wobec tragedii swych ziomków pozostają na miejscu tragedii w Kielcach jakże wpływowi tamtejsi Żydzi: prezydent miasta Zarecki, zastępca szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Albert Grynbaum, szef sekretariatu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Eta Lewkowicz-Ajzenman, szef wydziału personalnego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Marian (Morris) Kwaśniewski. I gdzie tu jest osławiona żydowska solidarność?

Jeśli rzeczywiście w ataku na Żydów brał tylko udział "reakcyjny, rasistowski motłoch", to przecież jakże łatwo byłoby go rozpędzić w sytuacji, gdy według dokładnie potwierdzonych świadectw nigdy nie liczył więcej niż 300 osób. Tymczasem, jak przypomina Kąkolewski: naczelnik wydziału personalnego WUBP Morris Kwaśniewski, raportując o siłach bezpieczeństwa ocenia, że można było wystawić 600 osób. "Z samych tylko wartowników i szkoły WUBP - twierdzi - można było wystawić siłę zbrojną zwartą do 150 osób" (K. Kąkolewski: "Umarły cmentarz", Warszawa 1996, s. 146). Można było wystawić więc siłę zbrojną 600 osób wobec cywilów, liczących najwyżej 300 osób.

Dlaczego więc nie ściągnięto takiej siły dla spacyfikowania zajęć? Komu zależało na ich przedłużaniu i dalszym mordowaniu Żydów? Dlaczego nie dopuszczono na miejsce zajęć prokuratora i duchownych?

Jeśli bić, to w polskich mundurach

Kolejna kwestia - jaką rolę w całej sprawie odegrał sowiecki doradca szefa UB w Kielcach, osławionego majora Spychaja-Sobczyńskiego? (Były ambasador PRL-u Zdzisław Rurarz w publikowanym w 1996 roku w "Dzienniku Chicagowskim" artykule twierdził, że Szpilewoj to agent "Natan", z pochodzenia Żyd radziecki z NKWD). Otóż sowiecki pułkownik Szpilewoj jednoznacznie sprzeciwił się strzelaniu do motłochu atakującego Żydów, mówiąc: "Eto ne budiet charaszo" (wg. J. Sledzianowski, op. cit., s. 70). Kąkolewski o tym samym pułkowniku Szpilewoju przytacza informację, iż na prośbę o pomoc odpowiedział on co następuje: "Nie może przysłać pomocy, bo nie ma jednostek w mundurach polskich. Ma tylko mundury rosyjskie, a gdyby wystąpili w rosyjskich, mogliby potem powiedzieć, że Rosjanie mordują Polaków" (cyt. za K. Kąkolewski "Umarły cmentarz" Warszawa 1996, s. 146). Kąkolewski komentuje: "Nasuwa się też pytanie: gdzie byli w tym czasie żołnierze sowieccy, którzy byli w mundurach polskich?" (tamże). Zapytajmy teraz, a dlaczegoż to dowódca sowiecki okazywał się nagle tak wstrzemięźliwy z wysłaniem żołnierzy sowieckich, których sam widok mógł podziwiać studząco na tych, którzy atakowali Żydów? Przecież znamy z tamtego czasu aż nadto wiele przypadków, gdy Rosjanie bez żenady wysyłali swe oddziały przeciw Polakom, choćby parę miesięcy przedtem do okrutnego spacyfikowania pokojowej manifestacji studenckiej w Krakowie z okazji 3 Maja. Tam nie wahano się użyć broni palnej i czołgów, a tu nie chciano nic zrobić dla spacyfikowania domniemanego motłochu, atakującego i zabijającego Żydów. Bo przypuszczalnie był to dość specyficzny motłoch - "motłoch komunistyczny" - jak pisze o nim K. Kąkolewski, złożony głównie z odpowiednio dobranych prowokatorów.

Kuprij "w odstawku"?

Kolejna wielce zagadkowa sprawa. Generał brygady w stanie spoczynku Antoni Frankowski (4 lipca 1946 roku oficer dyżurny kieleckiego garnizonu) opisywał w 1996 roku, jak to zameldował dowódcy dywizji pułkownikowi Stanisławowi Kupszy o tym, że zajścia antyżydowskie przybrały niezwykle groźny charakter. Kupsza odpowiedział mu na to po rosyjsku: - Poszedł, zobaczył parę przekupek i robi alarm (cyt. za J. Śledzianowski, op. cit., s. 71). Tak zachował się najwyższy wówczas zwierzchnik wojskowy w mieście - Kupsza był

dowódcą 2 Dywizji Piechoty WP im. Henryka Dąbrowskiego. Kupsza vel Kuprij był synem Rosjanina - urzędnika gubernialnego i urodził się w Kielcach. Po powstaniu niepodległej Polski Kuprije wyjechali do Rosji. Przybył do Polski po 1944 roku dla "utrwalenia władzy ludowej" (wg J. Śledzianowski, op. cit. s. 72). Według podanych przez ks. Śledzianowskiego informacji po wydarzeniach na Plantach Kupsza opuścił Kielce, był sądzony przez wojskowy sąd sowiecki, usunięty ze stanowiska i zdegradowany do stopnia szeregowca. Później został zabity na ulicy w Olsztynie (tamże s. 74). Znowu kolejna tajemnicza śmierć kogoś, kto miał wpływ na wydarzenia. Nasuwa się znowu pytanie - dlaczego taki, a nie inny los spotkał płk. Kupszę, podczas gdy szefa UB, podejrzanego o bezpośrednie przygotowanie pogromu w Kielcach, wybronił przed sądem jego sowieccy protektorzy i nawet zrobił później błyskawiczną karierę. A może płk Kupsza z czymś się niepotrzebnie "wygadał" i stał się dlatego "niebezpieczny"?

Dowody Chęcińskiego

Krystyna Kersten w cytowanej już książce "Polacy. Żydzi. Komunizm" starała się podważyć twierdzenia b. oficera Informacji Wojskowej żydowskiego pochodzenia Michała Chęcińskiego o prowokacji sowieckiej jako przyczynie zbrodni kieleckiej. Twierdziła, że Chęciński jakoby wypowiada się "stanowczo, acz bez dowodów". Otóż Chęciński wyraźnie powołuje się na relacje uzyskane od wiarygodnych świadków wydarzeń - czy to jest brak dowodów? Chęciński dowodzi na przykład, że aktywny udział w trakcie zajęć kieleckich odegrał agent rosyjski o nazwisku Demin lub Diomin, urzędujący w tym czasie w WUBP w Kielcach. Jako źródło swej informacji w tym względzie podaje b. szefa sekretariatu WUBP E. Lewkowicz-Ajzenman, która później rozpoznała Diomina jako dyplomatę sowieckiego w Tel Awiwie. Także E. Lewkowicz-Ajzenman poinformowała Diomina o tym, że ojciec chłopca, który posłużył jako narzędzie prowokacji w Kielcach w lipcu 1946 roku - Walenty Błaszczuk, był agentem polskiej bezpieki o pseudonimie "Przelot". Zapytajmy teraz, jaki interes mogła mieć E. Lewkowicz-Ajzenman w podawaniu nieprawdziwych czy niepotwierdzonych informacji, które służyłyby zmniejszeniu odpowiedzialności Polaków za Kielce, poprzez pokazanie sowieckiej "inspiracji"? Postawmy kolejne pytanie, dlaczego Chęciński, który opuścił polską armię po czyszkach 1968 roku, wyjeżdżając za granicę miałby być szczególnie stronnico propolski, opierając się na niesprawdzonych informacjach, korzystnych dla obrazu Polaków? Osobiście uważam, że właśnie argumenty Chęcińskiego wydają się o wiele bardziej wiarygodne niż twierdzenia K. Kersten, która tyle razy dowiodła nagminnej skłonności do rozmijania się z prawdą. (Od osławionej propagandowej książki kłamstw o PKWN w 1966 roku po udokumentowanie swego artykułu w "Polityce" w 1996 roku z fałszersko spreparowanym zdjęciem).

Zacieranie śladów zbrodni

Na tle kompromitujących publikacji Krystyny Kersten warto przypomnieć dwa o ile poważniejsze wypowiedzi. Jednym z nich był świetny tekst o. Jacka Salija OP "W rocznicę pogromu", publikowany w "Tygodniku Solidarność" z 5 lipca 1996 r. Duchowny przypominał okoliczności zbrodni kieleckiej i ustalenia badaczy, które dowiodły, że "pogrom kielecki był zbrodnią, z premedytacją obmyśloną i przeprowadzoną przez siły reżimu komunistycznego (w tym również siły sowieckie) w celu osiągnięcia moralnego oburzenia opinii światowej na naród polski i odwrócenia w ten sposób uwagi od sfałszowanego referendum, jak i od sprawy katyńskiej (...)". Autor artykułu przypominał również przebieg sfabrykowanego procesu, który dowodził, że "główną troską sądu było zatarcie śladów po sprawcach zbrodni". Ojciec Salij wyrażał nadzieję, że ujawniona zostanie w końcu pełna prawda o kulisach pogromu kieleckiego i: "imieniu polskiemu, tak niesłusznie zarzutem wyróżniania się wśród narodów świata w nienawiści do Żydów, wcześniej czy później

zostanie oddana sprawiedliwość. Bo zapłaciliśmy za pogrom kielecki cenę szczególnie gorzką, cenę niesprawiedliwej infamii, rzuconej na nas 50 lat temu i odtąd po wielokroć ponawianej. Dochodziło aż do absurdalnych oskarżeń, że to my ponosimy główną winę za hitlerowskie ludobójstwo".

Zginęli również niewinni Polacy

W tym samym "Tygodniku Solidarność" (nr z 12 lipca 1996 r.) znalazł się tekst pięknego przemówienia wygłoszonego przez Antoniego Zambrowskiego 4 lipca 1996 r. W kościele św. Katarzyny na uroczystości poświęconej pamięci ofiar tzw. pogromu kieleckiego Antoni Zambrowski, syn jednego z czołowych przedstawicieli frakcji żydowskiej w Biurze Politycznym KC PZPR w dobie stalinizmu, Romana Zambrowskiego, od połowy lat 60. zbuntowany przeciwko komunizmowi i kilka lat więziony, powiedział bez ogródek; "(...) dziś przyszedł tu, by czcić pamięć innych ofiar stalinizmu - pamięć ludzi zamordowanych w Kielcach, w lipcu 1946 roku. Byli nimi Żydzi z żydowskiego domu na plantach zamordowani przez komunistycznych siepaczy z różnych formacji bojowych: MO, KBW, UB w czasie tzw. pogromu kieleckiego. Byli nimi również Polacy, którzy zginęli przy tej okazji. Wszyscy zginęli dlatego, że Stalin i jego NKWD potrzebowali wielkiej sensacji, która przysłoniłaby prawdę o sfałszowanym przed kilku dniami w Polsce referendum. Życie ludzkie w tych warunkach nie miało dla autorów tej zbrodni żadnej wartości. Tak popełniono zbrodnię przeciwko Żydom i Polakom. Prawda o pogromie kieleckim przez długie lata ukrywana była za zasłoną dymną komunistycznej propagandy, przedstawiającej ten mord jako dzieło reakcyjnego motłochu (...). Czcząc pamięć ofiar kieleckiego pogromu, domagamy się zarazem ujawnienia jego kulisy i ukarania prawdziwych organizatorów zbrodni (...)". Nawet Stefan Bratkowski, zbliżony skądinąd bardzo silnie do Unii Wolności i kręgów "Gazety Wyborczej", w świetle faktów nie miał żadnej wątpliwości co do tego, kim byli sprawcy zbrodni kieleckiej. W wydanej rok temu w Warszawie książce "Pod wspólnym niebem" o dziejach stosunków polsko-żydowskich jednoznacznie określił zajścia antyżydowskie w Kielcach 4 lipca 1946 roku jako efekt sowieckiej prowokacji.

Ręka bandyty

Osoby rzetelnie analizujące różne fakty na temat przebiegu zbrodni kieleckiej wyraźnie nie miały wątpliwości co do tego, kto był jej inicjatorem. Występujący ze swą relacją we wspomnianym już filmie A. Miłosza i P. Wejcherta o Kielcach 1946 roku Rafał Blumenfeld stwierdził jako mieszkaniec kamienicy Planty, że "pogrom był zorganizowany i zaplanowany po to, aby w opinii Zachodu skompromitować Polaków. UB udowodniło aliantom, że "Polacy to dziki naród" i potrzebna mu będzie silna opiekuńcza ręka, która już od Jałty przygarnia go do siebie". (wg J. Śledzianowski, op. cit., s. 206). Rita Pragier w wydanej w 1992 roku książce "Żydzi czy Polacy" (s. 197-8) cytuje znamiennej opinię dziennikarza żydowskiego pochodzenia Kazimierza Zybarta: "Pogrom kielecki. Nie ma dowodów, ale wiele poszlak na to wskazuje, że była to ubecka prowokacja. A kto był na wierchuszce w UB? Podobno Żydzi (...). Rzecz w tym, że ci ludzie w ogóle nie mieli skrupułów - zwyczajni bandyci".

Część IX

Kielce a Deir Yassin

Zajścia antyżydowskie w Kielcach w lipcu 1946 roku są wciąż ogromnie nagłaśniane w świecie, służąc jako dogodny argument do najskrajniejszych antypolskich uogólnień, dowodzących, że Polacy byli kontynuatorami hitlerowskiego dzieła eksterminacji

Żydów.

Tak robi się m.in. przez dodanie odpowiednio skomentowanego fragmentu o Kielcach 1946 roku do ekspozycji w amerykańskich muzeach holokaustu. Pokazując w takim kontekście mord czterdziestu paru Żydów w Kielcach, skrzętnie milczy się o roli NKWD-owskich i ubeckich prowokatorów w tej zbrodni. Te same osoby, które tak jak noblista E. Wiesel żarliwie i donośnie wykrzykują uogólnione potępienia "zbrodniczych" Polaków za Kielce, równocześnie za nic nie chcą zabrać publicznie głosu w sprawie zbrodni popełnionej przez Żydów - wymordowania 254 Arabów, głównie dzieci, kobiet i starców w wiosce Deir Yassin w kwietniu 1948 roku. Bestialskiej zbrodni, której sprawców nigdy nie ukarano w Izraelu, a główny odpowiedzialny za nią - dowódca terrorystycznych jednostek Irgunu Menachem Begin - został po dziesięcioleciach nawet premierem Izraela, a później laureatem Pokojowej Nagrody Nobla (!).

Żydowska amnezja

Przemilczanie w Polsce sprawy zbrodni żydowskiej w Deir Yassin tym bardziej ułatwia cyniczne uogólnienia na temat Polaków, którzy jakoby chorują na amnezję o złych sprawach w swej historii. Bo milczą o swoich domniemanych zbrodniach (w Jedwabnem i - jak sugerują w Światowym Kongresie Żydów - także o innych rzekomych zbrodniach na Żydach). Może więc wreszcie zajmiemy się tu, w Polsce, dokładniej przykładami strasznej żydowskiej amnezji na temat ciemnych kart własnej przeszłości. Wspominano już w polskiej prasie, także w "Naszym Dzienniku", o tej żydowskiej amnezji w odniesieniu do zbrodni popełnionych na Polakach na Kresach Wschodnich w latach 1939-41, w Nalibokach (1943 r.), w Koniuchach (1944 r.) czy powojennych zbrodni Bermiana, Fejgina, Romkowskiego, Różańskiego (Goldberga), Światły, Brystygierowej, Wolińskiej czy Stefana Michnika. Warto wreszcie wspomnieć również i o prawie zupełnie nieznannej w Polsce okrutnej masakrze dokonanej przez Żydów w Deir Yassin, masakry, za którą jakoś nie chcą się bić w piersi tak mentorsko karcący Polaków przedstawiciele izraelskich Żydów od ambasadora Izraela w Warszawie Szewacha Weissa po prof. Izraela Gutmana. O ile wiem, historii tej zbrodni nikt dotąd nie podejmował w Polsce poza mną (por. moje teksty: "...to, co jest złem w oczach Boga" - cykl "Przemilczane świadectwa" (16) w "Słowie Dzienniku katolickim" z 17 lutego 1995 r. i hasło Deir Yassin w Encyklopedii Białych Płom, t. IV, Radom 2001, s. 231-232). A przecież sprawa masakry w Deir Yassin stanowi jakże ważny przyczynek do powojennej historii Żydów i zarazem jakże ważny przykład faryzejskiego stosowania dwóch miar w historiografii i publicystyce. Z jednej strony maksymalnego nagłaśniania sprawy Kielc 1946 r. i z drugiej strony równoczesnego maksymalnego wyciszenia i przemilczania sprawy masakry w Deir Yassin, gdzie niedoszłe ofiary holokaustu z zimną krwią okrutnie wymordowały 254 niewinnych i pokojowo nastawionych wieśniaków arabskich. Prezentowanym na łamach "Naszego Dziennika" szkicem pragnę ostatecznie rozbić zaporę wieloletniego, tak niegodnego milczenia w tej kwestii. Dodajmy, że przedstawiane tu fakty opieram w przeważającej mierze na świadectwach uczciwych izraelskich Żydów, protestujących przeciwko przemilczaniu lub zakłamywaniu sprawy masakry w Deir Yassin przez ich własnych żydowskich rodaków (m.in. wstrząsające świadectwo b. pułkownika armii izraelskiej Meira Paila).

Jak doszło do zbrodni

Wioska Deir Yassin, położona w pobliżu Jerozolimy, miała reputację bardzo pokojowej miejscowości. Jej mieszkańcy arabscy, żyjący z pracy w kamieniołomach, chcieli uniknąć udziału w starciach arabsko-żydowskich i zawarli pakt o wzajemnych pokojowych stosunkach z pobliskim żydowskim przedmieściem Jerozolimy - Givat Shaul. Komendant izraelskich oddziałów Hagdany w Givat Shaul, Yona Ben-Sasson, wspominał później, że "nie

było nigdy ani jednego wrogiego incydentu pomiędzy Deir Yassin a Żydami" (za: U. Nilstein "War of Independence", t. IV, Tel Awiw 1991, s. 257).

Były pułkownik izraelski i historyk wojskowości dr Meir Pail wspominał po latach, że wioska Deir Yassin "miała pakt z nami (...). Ludzie z Deir Yassin przestrzegali tego paktu (...). Nigdy nie słyszałem o jakimkolwiek strzelaniu przeciwko nam". Chcąc uniknąć waśni z Żydami, mieszkańcy Deir Yassin przeganiali ze swej ziemi wszelkich uzbrojonych Arabów. To wszystko nie uchroniło ich jednak przed okrutnym losem. W dowództwach terrorystycznych bojówek Irgunu (kierowanego przez Begina) i Stern Gangu (dowodzonego przez innego późniejszego premiera Icchaka Szamira) powstał tajny plan, aby zniszczyć Deir Yassin, tak aby móc tam później stworzyć małe lotnisko dostarczające wsparcia dla Żydów w Jerozolimie. Jako pierwsze zniszczenie Deir Yassin zaproponowało właśnie ugrupowanie terrorystyczne Sterna, dążąc w ten sposób "do złamania ducha Arabów". Pomysł ten natychmiast zyskał poparcie przywódcy Irgunu - Begina.

Z zimną krwią zaplanowano wymordowanie wszystkich arabskich mieszkańców Deir Yassin. Oficer Irgunu Ben-Zion Cohen wspominał, że podczas narady dowódców terrorystycznych jednostek Irgunu i Sterna: "Większość opowiedziała się za likwidacją wszystkich mężczyzn w wiosce i jakiegokolwiek innej siły, która by się nam opierała, czy to byłiby starcy, czy kobiety i dzieci".

Masakra

W nocy z 8 na 9 kwietnia 1948 roku 132 mężczyzn (72 z Irgunu i 60 ze Sterna) zebrało się do planowanego ataku na wioskę arabską. W świetle tego, co później nastąpiło, możemy więc mówić o wcale niemałej grupie 132 bezlitosnych morderców. Ofiarą dokonanej przez nich rzezi padły głównie kobiety, dzieci i starcy, ponieważ przeważająca część młodych mężczyzn zdołała uciec w panice od razu, na początku ataku. Izraelski pułkownik Meir Pail, który przybył do Deir Yassin niewiele godzin po masakrze i dokładnie oglądał miejsce rzezi, wspominał: "Wchodziliśmy do domów. To były typowe domy arabskie (...). W kątach pokojów widzieliśmy martwe ciała. Prawie wszyscy zabici byli starcami, kobietami lub dziećmi. (...) Większość arabskich mężczyzn uciekła. To jest dziwna sprawa, ale przy takim niebezpieczeństwie najzręczniejsi uciekają pierwsi". Na tle tej ucieczki jakże wielu młodych Arabów tym bardziej można podziwiać heroiczne poświęcenie nauczycielki Hayat Balabseh, która odrzuciła szansę ucieczki i spiesząc z pomocą rannym, sama padła ofiarą żydowskich morderców.

Przez dwa kolejne dni terroryści Irgunu i Sterna zabijali w najokrutniejszy sposób swoje ofiary, niektórym z nich obcinając głowy. Według oficjalnego raportu głównego przedstawiciela Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Jerozolimie dr. Jacquesa de Reyniera, zamordowano 52 dzieci i rozcięto brzuchy 25 ciężarnych kobiet. Sam de Reynier znalazł m.in. ciało jeszcze żywej, potwornie okaleczonej dziewczynki. Licznym Arabom, masakrując ich, obcięto genitalia. Jacques de Reynier z obrzydzeniem wspominał, jak piękna izraelska dziewczyna pyszniła się swym nożem ociekającym krwią (por. tekst o Deir Yassin w kanadyjskim "Globe and Mail" z 2 maja 1998 r.). W książce "Remembering Deir Yassin", której współautorem był żydowski teolog i naukowiec Marc H. Ellis (Nowy Jork 1998, s. 48-51) przytaczano m.in. takie wstrząsające sceny masakry w Deir Yassin: "Jamil Ahmed (...) wspominał dzień, gdy umarła jego wieś (...). Zabrano ich jako jeńców, zaprowadzono na skraj wsi w pobliżu mego domu i obsypano kulami. W ten sposób zastrzelono również niewidomego i siedmioletnie dziecko (...). 'Operację oczyszczającą' prowadzono, idąc z domu do domu, najpierw obsypując je kulami, a potem wrzucając granaty. Niewiele znaczyło, kto był w owym domu. Mężczyźni, kobiety i dzieci byli wyciągani z ich domów, stawiani pod ścianą i rozstrzeliwani. Zdziczenie zwiększało się wraz ze śmiercią każdego mieszkańca wioski. Halem Eid widziała, jak zastrzelono jej siostrę Shliję strzałem w szyję".

Shliya była w dziewiątym miesiącu ciąży. Morderca rozciął brzuch kobiety nożem rzeźniczym. Inna kobieta Aiecha Radvav została zastrzelona, gdy próbowała ratować niemowlę (...). Mohammed Jaber, który znalazł się w domu dzięki wcześniejszemu zamknięciu szkoły, oglądał scenę ze swego ukrycia pod łóżkiem. Widział, jak "Żydzi wdarli się do domu, wyciągnęli wszystkich na zewnątrz, postawili pod ścianą i zamordowali. Jedna z kobiet miała na ręku trzymiesięczne dziecko".

12-letnia wówczas dziewczyna Fahimi Zeidan wspominała, jak wymordowano jej rodzinę i sąsiadów. Zastrzelono już ranionego mężczyznę, a gdy jedna z jego córek krzyczała, zastrzelono również i ją. Potem zawołali mego brata Mehmuda i zastrzelili go w mojej obecności, a gdy moja matka zaczęła krzyczeć, pochylając się nad moim bratem (na rękach miała moją małą siostrę Khadrę, jeszcze karmioną piersią), zastrzelili również i moją matkę". Doktor Jacques de Reynier zanotował swe pierwsze wrażenia na widok miejsca masakry w Deir Yassin: "Wszystko, co mi przychodzi na myśl w tym kontekście, to wojska SS, które widziałem w Atenach" (cyt. za "Remembering Deir Yassin", op.cit. s. 49). Towarzyszący de Reynierowi żydowski doktor Alfred Engel wyznał po latach: "Byłem doktorem w armii niemieckiej przez pięć lat w czasie pierwszej wojny światowej, ale nigdy nie widziałem wówczas tak potwornego widowiska" (cyt. za U. Milstein, op.cit., s. 279).

Fahimi Zeidan, wówczas 12-letni chłopiec, który zdołał przeżyć masakrę, opowiadał: "Żydzi nakazali całej rodzinie ustawić się rzędem przy ścianie i zaczęli nas rozstrzeliwać. Mnie trafili w ramię, ale uratowałem się wraz z większością dzieci, bo byliśmy ukryci za rodzicami. Kule trafiły moją siostrę Kadri (czteroletnią) w głowę, moją siostrę Sameh (ośmioletnią) w policzek, mego brata Mohammeda (siedmioletniego) w pierś. Wszyscy inni z nas postawieni pod ścianą zginęli: mój ojciec, moja matka, mój dziadek i babcia, moi wujkowie i ciotki oraz kilkoro z ich dzieci". Arabka Um Mahmud, która w czasie masakry miała 15 lat, relacjonowała po latach: "Widziałam, jak zamordowano Hilweh Zeidan wraz z jej mężem, jej synem, bratem i rodziną Khumayyes. Hilweh Zeidan poszła, aby zabrać ciało męża. Zastrzelili ją i upadła na jego ciało (...). Widziałam również Hayat Bibeissi, pielęgniarkę z Jerozolimy pracującą we wsi, jak ją zastrzelono przed drzwiami domu Musy Hassana. Córka Abu el Abeda została zastrzelona w momencie, gdy trzymała na ręku swoją siostrzenicę - niemowlę. Niemowlę zastrzelono również".

Rzezie i rabunek

Rzezi towarzyszył wszędzie rabunek. Żydowski terroryści z Irgunu i Sterna po zasztyletowaniu kobiet zdzierali im złote kolczyki i bransolety (wg "Remembering Deir Yassin", op.cit., s. 51). 41-letnia wówczas Safi yeh Attiyah relacjonowała straszne chwile wówczas przeżyte: "Jęczałam, ale wokół mnie gwałcono również inne kobiety. Niektórzy mężczyźni rozrywali nam uszy, by jak najbardziej zabrać nam kolczyki". Liczne kobiety zostały zgwałcone przed zamordowaniem. Śledztwo brytyjskiej policji dowiodło, że popełniono wiele okrucieństw seksualnych" (wg raportu brytyjskiej policji z 9 kwietnia 1948 roku cytowanego w książce L. Collins i D. Lepierre " O Jerusalem", Nowy Jork 1972, s. 276). Zastępca inspektora generalnego brytyjskiej policji w Jerozolimie Richard C. Catling stwierdził: "Nie ma wątpliwości, że wiele okrucieństw seksualnych zostało popełnionych przez żydowskich napastników. Zgwałcono wiele młodych dziewcząt, a później zarżnięto (...). Był przypadek, że młodą dziewczynę dosłownie rozczłonkowano na dwie części, zarżnięto wiele dzieci (...). Kobietom ściągano bransolety z rąk i pierścienie z ich palców. Odcinano nawet części uszu kobiecych, aby zyskać kolczyki".

Znamienny był fakt, że liczba zabitych Arabów wielokrotnie przewyższała liczbę ocalałych rannych. To było jednym z najlepszych dowodów, iż w Deir Yassin miała miejsce bezlitosna masakra. Amerykańscy autorzy szerszego tekstu na temat zbrodni w Deir Yassin pt. "Anatomy of a Whitewash", polemizującego z próbami wybielania sprawców rzezi,

porównywali wręcz rozmiary masakry w Deir Yassin do nazistowskiej zbrodni w czeskiej wsi Lidice. W obu przypadkach liczba zamordowanych wielokrotnie przewyższała liczbę ocalałych rannych. Nawet po przyjęciu skrajnie pomniejszonej liczby arabskich ofiar w Deir Yassin (107 zabitych i 12 rannych), jaką podawano w wybielającej sprawców rzezi książce Syjonistycznej Organizacji Ameryki (ZOA), procent zabitych do rannych równał się dziewięć do jednego. W normalnych potyczkach liczba rannych jest wielokrotnie większa. Oficer izraelskiej Hagany, Eliyahu Arbel, który przybył na miejsce zbrodni 10 kwietnia 1948 r., w dzień po rzezi, wspominał 24 lata później: "Widziałem wiele zdarzeń wojennych, ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego jak Deir Yassin, gdzie leżały głównie ciała kobiet i dzieci zamordowanych z zimną krwią". Gdy parę dni później brygada młodzieżowa Hagany przejęła od Irgunu i Sterna kontrolę nad Deir Yassin i zorganizowała pogrzeb zamordowanych, jeden z dowódców brygady Yehoshua Ariel powiedział, że to, co zobaczył w Deir Yassin, "było absolutnie barbarzyńskie". Musiano odesłać do domów młodszych członków brygady. Komendant brygady Zvi Ankor "wszedł do sześciu czy siedmiu domów" i jak później wyznał, znalazł tam kilka ciał okaleczonych seksualnie. Żeńska członkini grupy grzebiących ciała, Shosanna Shastal, wpadła w szok na widok kobiety w ciąży z rozciętym brzuchem.

Szok i gniew

Szczególnie szokujący był sadyzm żydowskich morderców w Deir Yassin. Izraelski pułkownik Meir Pail wspominał: "Ci, którzy mordowali, chodzili ze lśnącymi oczami jakby wpadli w szal radości dzięki zabójstwu (...). Widząc ten horror, byłem zaszokowany i gniewny".

Poza tymi Arabami (starcami, dziećmi i kobietami), których wymordowano od razu w ich domach, część schwytych wyprowadzono z domów i trzymano w jednym miejscu. Większość z nich została jednak również zamordowana. Terrorysta Irgunu Yehoshua Gorodentchik przyznał, że zabito około 80 ze schwytych Arabów. Tłumaczył to jednak tym, jakoby kilku ze schwytych rzekomo zaczęło nagle strzelać do Żydów. Inni tłumaczyli mordowanie kobiet tym, że kilku Arabów jakoby przebrało się za kobiety dla uniknięcia śmierci. W rzeczywistości to właśnie dzieci i kobiety dominowały wśród ofiar rzezi. Izraelski dziennikarz Dan Kurzman pisał po rozmowach z żydowskimi uczestnikami napaści na Deir Yassin, iż przyznali oni to, że "z zimną krwią rozstrzelali każdego Araba, którego znaleźli, niezależnie od tego, czy to był mężczyzna, kobieta czy dziecko" (D. Kurzman "Genesis 1948. The First Arab-Israeli War", Nowy Jork 1970, s. 14).

Po zdobyciu wioski kontynuowano egzekucje, teraz jednak mordując głównie mężczyzn, nieraz na oczach kobiet z ich rodzin. Abu Yousef, uchodźca z Deir Yassin, opisywał, jak "Jednej kobiecie zabrano jej syna na 40-60 metrów od miejsca, gdzie stała z innymi kobietami, po czym go zastrzelono. Przyprawiono żydowskich chłopców, aby rzucali kamieniami na ciało zabitego. Później polano je naftą i spalono na oczach kobiet". Pułkownik Meir Pail opisywał to, co wówczas widział w następujący sposób: "potem postawili więźniów przy ścianie [kamieniołomu - J.R.N.] i rozstrzelali wielu z nich (...). Trudno jest ocenić, ilu Arabów zabito. De Reynier raportował, że było około 200 zabitych. Ja oceniam, że prawdziwa liczba była między 200 a 250. Większość ciał to były kobiety i dzieci".

Odsiecz

Być może zamordowano by jeszcze więcej arabskich mieszkańców Deir Yassin, gdyby nie niespodziewana odsiecz dla części schwytych, z jaką przybyli mieszkańcy sąsiedniej wioski żydowskiej Givat Shaul. Całą sprawę opisał w paru relacjach cytowany już b. pułkownik armii izraelskiej Meir Pail: "Irgun i Stern Gang zgromadzili 250 osób z Deir Yassin w budynku szkoły (...), głównie dzieci i kobiety. Otoczyli budynek, grożąc, że rzucą bomby na zgromadzonych w nim". I wtedy ludzie Givat Shaul zaczęli krzyczeć na nich: "Nie róbcie

tego, wy mordercy" (cyt. za: "Remembering Deir Yassin", s. 43-44). W innej relacji płk Meir Pail opisywał: "Tymczasem tłum ludzi z Givat Shaul przybył do wsi i zaczął krzyżeć: 'gazlanim', 'rozchim' (mordercy, złodzieje) - mieliśmy porozumienie z tą wioską. Była spokojna. Dlaczego ich mordujecie?". Uratowało to większość uwięzionych, ale wcale nie zakończyło ich gehenny. Dwudziestu pięciu mężczyzn schwytych w Deir Yassin załadowano w ciężarówce i oprowadzono w triumfalnej paradzie zwycięstwa po ulicach Jerozolimy. A później wywieziono ich za miasto i z zimną krwią wymordowano" (wg "Remembering Deir Yassin", s. 48). Żydowski dziennikarz Harry Levin opisywał sceny z tej parady, gdy trzy ciężarówce z Deir Yassin przejeżdżały w górę i w dół King George V Avenue, wioząc mężczyzn, kobiety i dzieci z rękami podniesionymi do góry. Zauważył w jednej z ciężarówek "młodego chłopca z wyrazem udrczenia i strachu wypisanym na jego twarzy" (za H. Levin "I saw the Battle of Jerusalem", Nowy Jork 1950). Niektórych Arabów schwytych w Deir Yassin zamordowano później w bazie Gangu Sterna w Sheikh Bador. Na przykład, według informacji wywiadu izraelskiego wojska - Hagany, w bazie tej zamordowano arabskie niemowlę i jego matkę (wg L. Collins i D. Lapierre "O Jerusalem!", op.cit., s. 276).

Część X

Kielce a Deir Yassin

Żydowscy terroryści-mordercy grabili wszystko, co tylko się dało w domach swych arabskich ofiar. Po kilkakroć przeszukiwano ich domostwa w poszukiwaniu łupów.

Mohammed, wówczas młody chłopak arabski, opisywał w swej relacji, iż "ukrył się pod łóżkiem swoich rodziców w momencie, gdy terroryści wkroczyli do jego domu. Słyszał przez długi czas, jak krzyczała jego matka. Ze swego miejsca ukrycia widział ciała siostr i braci padające na podłogę. Dom był rabowany. Kilka razy wyciągano stare ubrania i buty spod łóżka, ale go nie wykryto. Przez resztę dnia i w nocy mały chłopiec słyszał jęki i krzyki, strzały karabinów (...). O świcie ciała leżące w domu wyciągnięto na zewnątrz. Gdy zobaczył pozbawione życia ciało matki ciągnięte za stopy jak worek kartofli, niekontrolowane łkanie wydarło mu się z gardła. Terrorysta sięgnął pod łóżko, wyciągnął go z ukrycia i załadował na ciężarówkę, gdzie kilkoro innych dzieci kurczowo trzymało się nawzajem. Ośmioletnia dziewczynka była cała unurzana we krwi. Mohammed bał się, że była ranna (...). Ledwie mogąc mówić, powiedziała mu, że ma na imię Thoraya i zapewniła, że nie jest ranna. Jej ciotki ochronnie schowały ją za siebie, gdy terroryści weszli do domu. Kobiety zasztyletowano, zdzierając z nich złote kolczyki i złote bransoletki, ale Thoraya pozostała bezpieczna, chroniona przez ich ciała, które spadły na nią i które czuła nad sobą przez godziny. Znalaziono ją dopiero wtedy, gdy jeden z terrorystów powrócił, by się upewnić, czy cała biżuteria została zabrana od zabitych" (za: "Remembering Deir Yassin", Nowy Jork 1998, s. 51).

Izrael wykorzystuje skutki rzezi

Bestialska masakra 254 arabskich mieszkańców wioski Deir Yassin przyniosła skutki oczekiwane przez żydowskich morderców z bojówek Irgunu i Gangu Sterna. Wieść o rzezi wywołała straszną panikę wśród Arabów zamieszkujących pozostałe obszary Palestyny. Jak pisał Paul Johnson w "Historii Żydów" (Kraków 1993): "Wieść o tym strasliwym ataku, w przesadzonej jeszcze wersji rozeszła się błyskawicznie i bez wątpienia w ciągu następnych dwóch miesięcy skłoniła wielu Arabów do ucieczki (...). W każdym razie ucieczki Arabów spowodowały spadek ich liczebności w nowym państwie [izraelskim - J.R.N.] do zaledwie

160.000. Było to oczywiście bardzo korzystne". Palestyńska poetka i historyk literatury Salma Khadra Jayyusi wspominała: "Deir Yassin był początkiem, ale również początkiem końca. Ucieczka Palestyńczyków z ich domów (...) wynikała z uświadomienia sobie, że znajdują się w obliczu bezlitosnego i mszczącego się na ślepo wroga, który nie cofnie się przed niczym, aby osiągnąć to, czego chce" (cyt. za: "Remembering...", s. 31).

Izraelczycy zrobili dosłownie wszystko, aby maksymalnie wykorzystać dla swoich interesów psychologiczne efekty masakry, puszczając jak najszerzej pogłoski o czekających Arabów dalszych rzeziach w stylu Deir Yassin. Rezultatem był straszliwy exodus Arabów. Aż 750 tys. Arabów w popłochu opuściło swoje domy i pola, uciekając z terenów Palestyny przed wojskami izraelskimi. Izrael przeprowadził w ten sposób ogromną czystkę etniczną, zagarniając na trwałe ziemię i mienie setek tysięcy uchodźców arabskich.

Pycha mordercy

Główny organizator rzezi w Deir Yassin - szef bojówek Irgunu Menachem Begin, późniejszy premier Izraela, z pychą odnotował w swych pamiętnikach, że "Legenda Deir Yassin była warta dla wojsk Izraela tyle, co pół tuzina batalionów" (cyt. za: "Remembering...", s. 11). Z satysfakcją stwierdzał: "Ogarnięci trwogą Arabowie uciekali, krzycząc 'Deir Yassin'" (M. Begin "The story of the Irgun", Tel Aviv 1964, s. 162). Akcentował: "Arabowie na terenie całego kraju, skłonieni do wierzenia w dzikie opowieści o 'rzezi dokonanej przez Irgun' byli ogarnięci przez nieograniczoną niczym panikę i rozpoczęli ucieczkę dla ratowania swego życia. Ta masowa ucieczka przekształciła się wkrótce w szaleńczą, niekontrolowaną panikę. Trudno przecenić polityczne i ekonomiczne znaczenie takiego rozwoju wydarzeń".

Bezpośrednio po rzezi w Deir Yassin Begin wydał z okazji jej "pomyślnej realizacji" triumfalny rozkaz dzienny z gratulacjami dla żydowskich morderców: "Przyjmijcie gratulacje z okazji tak wspaniałego aktu podboju. (...) Powiedzcie żołnierzom, że stworzyli historię Izraela (...). Tak jak w Deir Yassin, tak i wszędzie, uderzymy i zmiażdżymy wroga".

Postępując w ten sposób Menachem Begin zachował się zgodnie z tradycją jego imienia (Menachem, syn Gadiego - król izraelski w latach 752-742 przed narodzeniem Chrystusa), o którym napisano w Biblii: "Podówczas Menachem spustoszył Tappuach - zabijając wszystkich, którzy w nim byli - oraz okolice jego, począwszy od Tirsy, ponieważ mu nie otworzono bram. Spustoszył je, a wszystkie w nim brzemiennie kobiety rozprawał. (...) Czynił on to, co jest złe w oczach Pańskich".

W związanym z żydowskimi kręgami popularnym dzienniku kanadyjskim "Globe and Mail" wspomniano po 50 latach od masakry w Deir Yassin: "(...) Skutki masakry w Deir Yassin były dramatyczne. Przerażenie ogarnęło arabskie społeczności Palestyny, a strach przed tym, co się zdarzyło w Deir Yassin był powiększany przez siły izraelskie, które ostrzegały arabską ludność Haify i Tyberiady przed powtórką [tej masakry - J.R.N.]. (...) Deir Yassin była pierwszą arabską wioską, która padła w wojnie 1948-1949 roku. Potem to samo stało się z ponad 400 innymi wioskami, startymi z nowej mapy Izraela. Uciekinierzy stali się awangardą arabskiego exodusu, który przekroczył liczbę 700.000 osób" (P. Martin: Memories of Deir Yassin haunt Palestinians, "Globe and Mail" 29 kwietnia 1998 roku).

Daniel Kurtzman z Żydowskiej Agencji Telegraficznej pisał na łamach innego żydowskiego pisma kanadyjskiego - "The Canadian Jewish News" (30 kwietnia 1998), iż według jednego z czołowych żydowskich historyków wojskowości Uri Milsteina: "Deir Yassin był jednym z najważniejszych wydarzeń w wojnie, które przyśpieszyło exodus Arabów z innych miejsc, ze strachu przed powtórzeniem się Deir Yassin".

Intelektualiści protestują... na próżno

Korzystające ze skutków okrutnej masakry Arabów władze izraelskie musiały jednak liczyć się z powszechnym oburzeniem światowej opinii publicznej, w tym także kręgów

najwybitniejszych intelektualistów żydowskich świata. Grupa czołowych intelektualistów żydowskiego pochodzenia (m.in. Albert Einstein i Hannah Arendt) napiętnowała Begina w liście otwartym, opublikowanym na łamach "The New York Times" jako faszystę, a jego partię jako faszystowską. W tej sytuacji spełzły na niczym podjęte początkowo przez władze izraelskie próby zatuszowania sprawy zbrodni w Deir Yassin. Nikt nie chciał uwierzyć w ogłoszoną najpierw przez Żydowską Agencję kłamliwą wersję o tym, że za rzeź w Deir Yassin jest jakoby odpowiedzialna grupa zrewoltowanych Arabów (wg "Remembering...", s. 11). Wkrótce musiano - wobec zbyt wielu świadectw winy Irgunu i Sterna - przyznać, że to żydowscy bojówkarze byli odpowiedzialni za "dzikie" i "barbarzyńskie działania" w Deir Yassin (przyznano tak w kolejnym oświadczeniu Żydowskiej Agencji Telegraficznej). Sam premier Izraela Ben Gurion wysłał do króla Transjordanii Abdullaha oficjalnie przeprosiny z powodu masakry. Ben Gurion uznał również za konieczne publiczne odcięcie się od zbrodniczych działań Begina i otwarcie nazwał go Menachemem Hitlerem. Były to jednak tylko działania pozorowane, niczym nieprzeszkadzające Izraelowi w maksymalnym wykorzystaniu skutków arabskiego exodusu po Deir Yassin.

Dwulicowość Ben Guriona najlepiej ilustrowało jego zachowanie wobec kilku głośnych uczonych żydowskich w sprawie Deir Yassin. Słynny żydowski teolog i uczyony Martin Buber wraz z trzema innymi żydowskimi uczonymi: Ernstem Siminem, Wernerem Senatorem i Cecilem Rothem, na próżno apelowali do premiera Ben Guriona, aby Deir Yassin pozostało niezamieszkane. W liście do Ben Guriona stwierdzali oni, że nazwa "Deir Yassin ma złą sławę zarówno w świecie żydowskim, jak i w arabskim, i w reszcie świata. W Deir Yassin zmasakrowano setki niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Afera Deir Yassin jest ciemną plamą na honorze żydowskiego państwa" [podkr. - J.R.N.]. Stąd wywodziła się podstawowa konkluzja listu czterech głośnych żydowskich uczonych: "Byłoby lepiej, gdyby się pozwoliło ziemiom Deir Yassin leżeć ugięte i pozostawić domy Deir Yassin w niezamieszkanym stanie niż doprowadzić do działań, których negatywne oddziaływanie symboliczne będzie nieskończenie większe niż praktyczne korzyści stąd wynikłe. Zasiedlenie Deir Yassin w ciągu roku od zbrodni i w ramach zwykłego osiedla będzie oznaczało aprobatę czy przynajmniej przyzwolenie dla masakry. Pozwólmy, aby wieś Deir Yassin pozostała niezamieszkała przez pewien okres czasu. Niech jej ruina stanie się strasznym i tragicznym symbolem wojny i ostrzeżeniem dla naszego narodu, że żadne praktyczne i militarne względy nigdy nie usprawiedliwiają takich morderczych działań i że naród nie może sobie życzyć wykorzystywania ich" (cyt. za: "Remembering...", s. 11).

Ben Gurion nigdy nie odpowiedział na list czterech uczonych żydowskich. Na próżno Buber i jego koledzy wiele razy posyłali mu kopie swego listu z oczekiwaniem odpowiedzi. W końcu sekretarz Ben Guriona odpowiedział uczonym, że Ben Gurion jest zbyt zajęty, aby mógł czytać ich listy. Martina Bubera ciągle prześladowała jednak pamięć o żydowskiej zbrodni w Deir Yassin. Jeszcze dziesięć lat później, przemawiając w Nowym Jorku w 1958 roku, Buber powiedział: "Zdarzyło się jednego dnia, że poza wszelkimi regularnymi działaniami wojennymi, oddział uzbrojonych Żydów napadł na arabską wioskę i ją zniszczył. (...) Odczułem to jako moją własną zbrodnię, zbrodnię Żydów przeciw umysłowi. Nawet dziś nie mogę myśleć o tym" (cyt. za "Remembering...", s. 14-15).

Już parę miesięcy po masakrze, we wrześniu 1948 roku w Deir Yassin osiedliły się grupy ortodoksyjnych Żydów z Polski, Rumunii i Słowacji. Deir Yassin stopniowo przekształcono w żydowską osadę Givat Shaul Bet. Na uroczyste otwarcie osady przyszło kilkuset gości, w tym ministrowie rządu Ben Guriona Kaplan i Shapira oraz naczelny rabin i mer Jerozolimy. Sam prezydent Izraela Chaim Weizmann przesłał z tej okazji gratulacje na piśmie. Otwarcia towarzyszył występ orkiestry. Później niektóre budynki zostały zniszczone buldożerami, by ułatwić budowę nowych domów dla osiedlenia się ortodoksyjnym Żydom. Nazwy ulic nadano ku czci członków Sterna i Irgunu, którzy uczestniczyli w rzezi mieszkańców Deir

Yassin (wg "Remembering...", s. 49). Tak oto bestialscy zbrodniarze nie tylko, że nie zostali nigdy ukarani za swą zbrodnię, lecz jeszcze zostali uroczysto uczczeni w miejscu dokonanej przez nich rzezi. Jakże fałszywe, jakże faryzejskie okazały się w tym momencie wcześniejsze oświadczenia dowódców armii izraelskiej bezpośrednio po masakrze w Deir Yassin, kiedy odcinając się od jej sprawców, publicznie stwierdzili, że masakra "splamiła sprawę żydowskich wojowników, zhańbiła żydowską armię i żydowską flagę". Buldożerami zniszczono stary arabski cmentarz w Deir Yassin. Wraz z rozszerzeniem Jerozolimy ziemie Deir Yassin stały się częścią miasta.

Byli jednak uczciwi Żydzi, którzy z odrazą patrzyli na to, jak władze ich kraju sankcjonują przywłaszczanie sobie ziemi arabskiej, zdobytej kosztem krwi tylu niewinnych osób. Poseł do Knesetu Yosef Lamm powiedział w czasie zasiedlania przez Żydów Deir Yassin i setek innych dawnych wiosek arabskich: "Żaden z nas nie zachowywał się podczas tej wojny w sposób, jaki mogliśmy oczekiwać od narodu żydowskiego, tak w odniesieniu do własności, jak i wobec ludzkiego życia. Powinniśmy się tego wstydzić" (cyt. za: "Remembering...", s. 12). Chaim Herzog, który później był prezydentem Izraela, wspominał w swej relacji z wojny masakrę w Deir Yassin "z odrazą i żalem" (wg P. Martin: Memories of Deir Yassin haunt Palestinians, "The Globe and Mail", 29 kwietnia 1998).

Bezkarni zbrodniarze

W Izraelu nigdy nie ukarano sprawców bestialskiej rzezi Arabów w Deir Yassin. Główny odpowiedzialny za nią Menachem Begin mógł nawet bezkarnie przez lata pyszczyć się masakrą dokonaną przez jego bojówki. Co więcej, ten okrutny kat Arabów kilka dziesięcioleci później rządził Izraelem jako jego premier (w latach 1977-83). Co więcej, w 1978 roku właśnie on został laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. W przyznaniu mu tej nagrody nie przeszkodziła ani pamięć o rzezi w Deir Yassin, ani o innych licznych zbrodniach terrorystycznych bojówek Begin (m.in. wysadzeniu skrzydła hotelu "King David", które spowodowało śmierć 69 przypadkowych przechodniów). Dodajmy, że odpowiedzialność za rzeź Palestyńczyków w Deir Yassin obciążała również innego późniejszego premiera Izraela - Icchaka Szamira. W rzezi wzięły bowiem udział także zbrojne grupy związanego z nim Stern Gangu.

Milczeniu o ofiarach rzezi w Deir Yassin towarzyszy w Izraelu rzecz szczególnie haniebna i obrzydliwa - coroczne obchody kolejnych rocznic masakry przez izraelskich katów. W książce "Remembering Deir Yassin" (s. 7) można przeczytać wprost szokujące informacje o tym, że organizuje się "specjalne wycieczki turystyczno-krajoznawcze, kierowane przez żyjących jeszcze bojowników dawnych walk [terrorystów żydowskich - J.R.N]" czy "uczestników bitwy, takich jak Ezra Yachin i Yehuda Lapidot. Ostatnia wycieczka tego typu (kierowana przez Lapidota) była sponsorowana przez Towarzystwo Ochrony Natury w Izraelu (SPNL) i przez Ligę Weteranów ETZEL (b. bojowników Irgunu). Zwykle organizuje się ją corocznie 9 kwietnia w rocznicę 'bitwy' i obchodzi ją z radykalnie syjonistycznego punktu widzenia. Te wycieczki służą zaprzeczaniu faktowi masakry (...)"

Przemilczaniu i zafałszowywaniu pamięci o rzezi w Deir Yassin w środowiskach izraelskich towarzyszy faryzejskie milczenie takich żydowskich "autorytetów" w świecie, jak laureat Pokojowej Nagrody Nobla Elie Wiesel. Autorzy książki "Remembering Deir Yassin" przypomnieli, z jaką pasją występował Wiesel w Oświęcimiu z okazji 50-lecia wyzwolenia tego obozu zagłady, prosząc Boga, aby nie miał litości dla tych, co mordowali żydowskie dzieci. I zapytywali, kiedy wreszcie E. Wiesel zdobędzie się na wysłuchanie tych, którzy proszą Boga o nieprzebaczenie mordercom palestyńskich dzieci.

O przerywanie niegodnego milczenia!

Na tle haniebnego milczenia Elie Wiesela o tragedii Palestyńczyków en général i o samej masakrze w Deir Yassin tym bardziej należy zaznaczyć, że są jednak głośni żydowscy

intelektualiści, którzy do dziś odczuwają wstyd z powodu masakry popełnionej przez przedstawicieli ich narodu. Jednym z nich jest słynny amerykański intelektualista pochodzenia żydowskiego Noam Chomsky, który stwierdził, że: "Masakra w Deir Yassin jest gorzkim symbolem terroru i represji, do której ku naszemu wstydu my sami przyczyniliśmy się na wiele istotnych sposobów i dotąd przyczyniamy się. Powinniśmy nie tylko pamiętać o tym, ale również to przemyśleć i zrozumieć i co najważniejsze działać, aby przynieść sprawiedliwość dla narodu, który tak poważnie ucierpiał".

Grupa uczciwych Żydów na czele z Marcem Ellisem, współautorem książki "Remembering Deir Yassin", w imię pojednania żydowsko-arabskiego wystąpiła w 1998 roku na rzecz przerwania tak długiego niegodnego milczenia o okropnej zbrodni popełnionej na Palestyńczykach. W książce "Remembering Deir Yassin" stanowczo wystąpiono przeciwko zapomnieniu o 254 ofiarach masakry w Deir Yassin, nieoznakowaniu nawet grobów "palestyńskich męczenników Deir Yassin". Grobów, które leżą zaledwie o milę od słynnego narodowego pomnika żydowskiego męczeństwa w Yad Vashem. Zapytywano: "Czy dlatego ci męczennicy są tak głęboko pochowani, żeby nie było słyhać ich krzyków wołających o sprawiedliwość?". Autorzy książki "Remembering Deir Yassin" wystąpili z inicjatywą wybudowania pomnika ku czci tragicznych ofiar masakry. Rozpisano konkurs na ten pomnik, pragnąc, by stał się on wielkim wezwaniem "na rzecz pamięci i na rzecz sprawiedliwości", "krzykiem na rzecz leczenia ponadpięćdziesięcioletniej rany". Najwyższy czas, by o tej strasznej niezagojonej ranie wiedziano więcej także w Polsce. By wiedzieli o niej także jakże liczni niestety filosemiccy dziennikarze najbardziej wpływowych polskich mediów, którzy za wszystko co złe w stosunkach izraelsko-palestyńskich winią wyłącznie Arabów. Oczywiście mam tu na myśli wyłącznie tych, co robią to z niedouczenia i ignorancji, a nie cynicznych proizraelskich "jastrzębi" typu Dawida Warszawskiego (Geberta) z "Gazety Wyborczej". A swoją drogą ciekawe jest, jak wytłumaczyłby jego szef Adam Michnik swoje milczenie w sprawie tragedii w Deir Yassin. Tak chętnie pouczający mentorsko Polaków w sprawie Jedwabnego Michnik, kiedyś hucznie ogłoszony Żydem Roku przez amerykańskich Żydów, dziwnie nie może zdobyć się nawet na odrobinę żydowskiego samorozrachunku za bestialską zbrodnię w Deir Yassin. Cóż jednak można wymagać od człowieka tak długo i starannie edukowanego przez całą komunistyczną rodzinę w swoistej dialektycznej mentalności Kalego?!